Nr 10 Październik 1901. Rok XXI.

PRZEDŚWIT

Towarzysze!

Ruch nasz w zaborze rosyjskim ogarnął szerokie masy ludności robotniczej po miastach i osadach przemysłowych. Wyżłobił sobie tak głębokie łożysko i złożył tyle dowodów swej żywotności, że możemy być zupełnie spokojni o jego przyszłość. Żadna siła wraża nie wypleni już ziarn zasianych przez socyalizm polsk w sercach i umysłach proletaryatu miejskiego. Nie wątpimy więc ani na chwilę. że partya nasza będzie ustawicznie wzrastała w siły i stawała się coraz poważniejszym czynnikiem w życiu politycznem narodu polskiego.

Ale dopóki będziemy opierali się wyłącznie na proletaryacie miejskim, dopóki olbrzymie masy wiejskiej ludności pracującej będą stały zdaleka od naszej organizacyi, nie rozumiejąc naszych ideałów, dopóty nie będziemy mogli stać się partyą całego polskiego ludu roboczego. Stoimy więc dziś wobec trudnego zadania; musimy pozyskać dla naszych dążeń wiejską ludność pracującą. Partya nasza nigdy nie zapominała o tym ważnym obowiązku — świadectwem uchwały jej zjazdów i skromne początki roboty po wsiach w różnych punktach kraju. Robota ta jednak była prowadzona dotychczas tylko dorywczo, albowiem ogrom pracy agitacyjnej i organizacyjnej po miastach z natury rzeczy musiał pochłaniać prawie wszystkie siły i zasoby partyi.

Dziś partya nasza wzmogła się o tyle, że przystępuje do planowej, systematycznej działalności po wsiach. Wobec tego najpilniejszem jest obecnie założenie specyalnego organu, któryby szerzył nasze zasady wśród wiejskiej ludności pracującej, stał się wyrazicielem jej pragnień i dążeń i kierował nową latoroślą naszego ruchu. Wydawanie takiego organu jest już postanowione przez Centralny Komitet Robotniczy.

Ale nie zapominajmy, że nowy ten krok pociągnie za sobą konieczność nowych wysiłków moralnych i materyalnych ze strony partyi. Na ogóle towarzyszy leży więc obowiązek przyjścia jej z pomocą – przedewszystkiem materyalną. Wzywamy więc wszystkich zwolenników naszych zagranicą do energicznych starań w celu zebrania takiej sumy, którąby umożliwiła jaknajprędsze ukazanie się nowego organu.

Komitet Zagraniczny
Polskiej Partyi Socyalistycznej

Londyn. 22 października 1901 r.

SAMORZĄD ZABORU PRUSKIEGO

Słówko odpowiedzi*)

Tow Płochocki ma krótką pamięć. Niedalej, jak w r. 1898, a więc już za jego redaktorstwa, drukowane było w *„Przedświcie“* (Nr 4) streszczenie ciekawych artykułów Kautsky'ego i wymiany zdań między nim a Daszyńskim w *Neue Zeit* — o kwestyi narodowościowej w Austryi. Ujrzawszy w odpowiedzi tow. Płochockiego na mój artykuł twierdzenie, że socyaliści austryaccy stawiali hasło „autonomii żywych narodowości“, jako możliwe do urzeczywistnienia *w granicach państwa austryackiego* (boć o to tylko idzie), przeczytałem powtórnie owe artykuły — i oto, com w nich znalazł. Daszyński umyślnie zabrał głos, aby pomiarkować trochę optymizm Kautsky'ego co do tego programu, przypominając zacietrzewienie się burżuazyjnych narodowych partyi, ich tendencye odśrodkowe, oraz ograniczoność i rutynę biurokracyi austryackiej, która nie zgodzi się na ten — jedyny — sposób uratowania istnienia Austryi. Kautsky odpowiada na to: *) „Najzupełniej zgadzam się z Daszyńskim, że nie powinniśmy oddawać się złudzeniom co do urzeczywistnienia w praktyce naszego narodowego programu. Nie podałem też myśli federalizmu narodowości, jako praktycznego. natychmiast wykonalnego rozwiązania teraźniejszych trudności w Austryi, lecz jako program narodowy z którym socyalna demokracya ma iść tam na walki, które ją czekają. Socyalna demokracya przy formułowaniu swego programu nie pyta, czy można pozyskać dla niego klasy panujące, tylko, czy jest on konieczny. A co uzna za konieczne, tego żąda, nie troszcząc się o to, czy przy teraźniejszem ustosunkowaniu sił społecznych ma to, lub nie, widoki urzeczywistnienia“. — To było pisane przed kongresem berneńskim — nie decyduje więc absolutnie o tem, co myśleli uczestnicy tego kongresu, uchwalając owo hasło „autonomii i federalizmu żywych narodowości“, chociaż niewątpliwie uchwała owa powstała pod silnym wpływem tych artykułów. Być też może, że tow. Austerlitz, redakcya *Arbeiterzeitung*, a nawet wogóle socyaliści *wiedeńscy*, nie mogący się pogodzić z myślą o końcu istnienia państwowego Austryi, optymistycznie zapatrują się na widoki urzeczywistnienia tego hasła. W każdym razie przykład Tyrolu ogromnie źle jest wybrany, jeśli ma ten optymizm uzasadnić: wiadomo bowiem, że kiedy doszło do praktycznego, prawodawczego urzeczywistnienia tego dotychczas teoretycznego hasła, jako autonomii — i to bardzo ograniczonej — włoskiego Trentina, to wszystkie niemieckie partye w ostatniej chwili odwróciły chorągiewkę — i „uratowanie Austryi“ — w tym punkcie przynajmniej — dyabli wzięli. Sądzę, że jest dość wielu towarzyszy, którzy myślą, że i na innych punktach nie pójdzie lepiej. Daszyński przynajmniej myślał tak w r. 1898, jak świadczy jego pesymistyczna „glossa“; zdaje mi się, że to przekonanie teraz coraz bardziej rozpowszechnia się między socyalistami czeskimi, a jeśli nawet niektórzy trwają nadal w swym austryackim optymizmie, to przywoływanie na mnie przez tow. Płochockiego ich oburzenia, zarówno jak oburzenia galicyjskiego znów optymisty, ob. Studnickiego, jest może bardzo zręcznem, ale mnie wcale nie wzrusza.

Tembardziej, że używanie hasła agitacyjnego „autonomii żywych narodowości“ w każdym razie uważam i nadal za zupełnie uzasadnione. Kautsky w cytowanem miejscu pomieszcza bezpośrednio dalej, co następuje: „I dlatego mojem

*) p. Nr 8.

**) Neue Zeit, t. XVI, str. 724.

zdaniem socyalna demokracya Austryi ma zupełne prawo stawiać żądanie federalizmu narodowości tak samo, *jak np. zamiany stałej armii na milicyę*". Podkreślam to porównanie. Kautsky chce przecie przez to powiedzieć, że to żądanie, choć nie wierzy się w możność jego urzeczywistnienia przed wprowadzeniem ustroju socyalistycznego, stawia się całkiem słusznie przed świadomością proletaryatu i klas panujących — jako żądanie na dziś. To samo pisałem w „*Przedświcie*" (Nr 7 r. 1900), wyjaśniając istotę programów minimalnych i haseł agitacyjnych. Wtedy już zestawiałem to żądanie z hasłem zarówno „federacyi równych narodowości" w Austryi, jak — w innej dziedzinie — 8-godzinnego dnia roboczego. Dziś dopiero tow. Płochocki oburza się na moje pojmowanie hasła agitacyjnego w tym ostatnim zakresie. „Wystawianie hasła autonomii z równoczesnem dążeniem do niepodległości — mówi ironicznie — odpowiadałoby chyba walce o 8-godz. dzień roboczy z równoczesnem wystawianiem jako ideału — 10-godzinnego". *Ideału?* Nie, to z mojego stanowiska nie wynika: — tylko polepszenia. Otóż w odpowiedzi tow. B. A. J. na mój wspomniany artykuł (*Przedświt* r. 1900, Nr 9, str. 5) znajduję znów takie zdanie: .... warunki chwili znajdują swój wyraz w *hasłach* aktualnych: program erfurcki mówi o 8-godz. dniu roboczym, a tymczasem projekt ustawy fabrycznej, wniesiony przez niemiecką partyę socyalistyczną, mówi tylko o *10-godzinnym*".

Tow. Płochocki ma krótką pamięć!....

Wogóle cały artykuł Kautsky'ego jest jakby specyalnie dla mnie pisany, tak mogę go zużytkować w tej kwestyi. Niech go sobie tow. Płochocki przypomni, a przekona się, dlaczego to i Kautsky, i Daszyński uważają urzeczywistnienie autonomii równouprawnionych narodowości w granicach państwowości austryackiej, jeśli nie za niemożliwe (bo w rzeczach społecznych zawsze pozostaje coś nieobliczalnego), to za nieprawdopodobne? Bo panujące żywioły — dynastya, biurokracya i burżuazya — nie zgodzą się na nie, nie zrozumieją nigdy, że jest to jedyne wyjście dla Austryi. A czemu jednak stawianie tego hasła uważane jest za pożądane i pożyteczne? Bo rozpadnięcie się Austryi, a szczególniej takie jej rozpadnięcie się, aby narodowości, w skład jej dziś wchodzące, posiadły niepodległość, nie jest prawdopodobnem w bliższej przyszłości, a chyba tylko dopiero przy takiej rewolucyi, która, obejmując i Rosyę i Niemcy, przywróci niepodległość Polsce. Trzeba zatem, aby socyalna demokracya wystąpiła, jako jedyna partya rozsądna, mówiąca teraźniejszym żywiołom panującym: skoro Austrya istnieje, dopóki ma istnieć, i *jeżeli chcecie, aby istniała*, to wykonajcie nasz program federacyi narodowości; inaczej — odpowiedzialność cała spada na was, a socyalna demokracya zyskuje w oczach opinii publicznej, przyśpiesza swój wzrost, jako jedyna partya, dająca rozumną i sprawiedliwą radę. Lecz — powtarzam — z góry się wie, że *najpewniej* jej nie posłuchają.

Słowo w słowo te same racye — taktyczne i faktyczne — przemawiają za używaniem agitacyjnego hasła autonomii przez P. P. S. w Niemczech. I tu możność zdobycia niepodległości zależy od rewolucyi ogólniejszej, która sprowadzi koniec istnienia państwowego dzisiejszych Niemiec. I tu rewolucya ta, *jakkolwiek jest pewną i jakkolwiek jej pewność zawsze należy wykazywać ludowi*, musi mu się jednak tymczasem wydawać dość odległą i nieujętą. I tu klasy panujące muszą pragnąć jej zapobiedz. Otóż socyaliści polscy przychodzą wobec tego i mówią — ludowi zarówno polskiemu, jak niemieckiemu: skoro państwo istnieje i my do niego tymczasem należymy; — żywiołom panującym: jeśli chcecie, aby państwo to istniało, a przynajmniej — aby wrogi mu żywioł polski nie nienawidził go tak radykalnie, aby nie krzewiły się chwasty moskalofilskie etc. to wykonajcie naszą rozsądną, z waszem stanowiskiem państwowem zgodną radę, dajcie polakom samorząd. Zgóry się wie, że rada nie zostanie wykonana: dlatego rozwija się jednocześnie rewolucyjnego ducha i gotowość, czemu tamto wcale

nie przeszkadza, a gdyby przypadkiem rada była wysłuchana, to samorząd także tylko zbliżałby nas przecie do dalszych naszych celów; ale samo występowanie z takiem rozwiązaniem wzmacnia stanowisko partyi, przyśpiesza jej wzrost, usuwa niektóre przeszkody z drogi. Tak np., gdyby konserwatyści polscy pod zaborem pruskim, wbrew wszelkiemu spodziewaniu, podjęli po nas to hasło, to przecie nie osłabiłoby to naszego stanowiska, a przeciwnie — dowiodłoby naszej siły i mogłoby być przez nas należycie wyzyskane, tak samo jak przejmowanie haseł prawodawstwa fabrycznego itp. przez burżuazyjne partye i rządy.

To jeden punkt — dla zamknięcia którego mógłbym conajwyżej jeszcze zauważyć — w kwestyi owego dziurawego parasola, z którym niby to mam wychodzić na deszcz, aby się przekonać o potrzebie kupna całego, — że gdybym ja w ten sposób siebie samego chciał przekonać, to rzeczywiście byłbym dziwakiem, ale jeżeli ja z tym dziurawym parasolem posyłam na deszcz kogoś, kto nie wierzy, że jest on dziurawy, i że trzeba dla wspólnego jego i mojego użytku kupić cały, to kwestya przedstawia się trochę odmiennie. Zresztą mogę tow. Płochockiemu darować obydwa parasole: i cały, i dziurawy i różne inne alegoryczne sprzęty, które w danej sytuacyi na myśl przyjść mogą, nie wykluczając i owych „nożyczek gabinetowych“, które ostatecznie mają mi wykroić etykietę „teoretyka“. Ach boże! jak często przychodzi na myśl zdanie Buckle'a, że ci, którym się zdaje, że są „praktykami“, wolnymi od wszelkich szczudeł teoretycznych, w gruncie rzeczy są bezwiednymi niewolnikami innej teoryi, tylko — krytycznie nie przetrawionej....

Tu właśnie przechodzimy do punktu drugiego: — aby dowieść, że hasło autonomii prowincyi polskich w Prusiech nie ma wartości, tow. Pł. powołuje się na trudność wykreślenia granic tej autonomicznej prowincyi wobec pomieszania ludności polskiej z niemiecką. No, ten argument jest doprawdy ostatnim, jaki powinienby wyjść z pod pióra tow. Pł., bo jeśli jest trafnym, to pocisk ten przenosi cel i bije — wogóle we wszelkie hasło terytoryalnego oddzielenia polskich krajów od Niemiec, a więc i w dążenie do zlania ich z niepodległą Polską. Może mi tow. Pł. powiedzieć, że sam ruch rewolucyjny rozstrzygnie to zagadnienie, jaki okręg odpadnie do niepodległej Polski, a jaki przy zdemokratyzowanych zostanie Niemczech; dobrze — ale jeżeli my, o ile możności, sobie teraz nie uświadomimy, czego będziemy chcieli pod tym względem, i nie powiemy jasno niemcom, co im odebrać chcemy, to i sami nie będziemy mieli dostatecznej stanowczości w postępowaniu, i możemy być pewni, że nawet najrewolucyjniejsi niemcy będą i w okresie przygotowawczym i w chwili decydującej paraliżowali nasze usiłowania. Właśnie w zaborze pruskim, gdzie kwestya granicy terytoryalnej jest najmniej jasna, należy zająć się jej opracowaniem, co przy stawianiu hasła autonomii nastąpić musi. Kierunek zaś, w jakim wypadnie rozwiązanie, musi być zasadniczo taki: domagamy się autonomii dla krajów ze zwartą, znacznie liczniejszą ludnością polską, choćby dziś miasta były w nich niemieckie, a co do okręgów, resp. gmin pogranicznych, niepewnych, to w nich głosowanie powszechne ludności, w razie potrzeby — co pewien czas ponawiane, ma decydować o należeniu do prowincyi niemieckich, czy autonomicznych polskich; przyczem — powtarzam — gwarantujemy w obrębie terytoryum autonomicznego prawa i swobody ludności niemieckiej wzamian za takąż gwarancyę dla ludności polskiej w prowincyach niemieckich. Jeśli przytem Warmia nie wejdzie w obręb prowincyi autonomicznej polskiej i w dalszym ciągu — niepodległego państwa polskiego, — no, to doprawdy powiem: Bóg z nią, choćby mnie za to zestawiono z p. Mendelsonem i przywołano na mnie oburzenie cieniów biskupa Krasickiego.

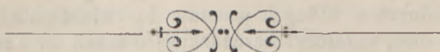
I tu właśnie chcę poruszyć punkt trzeci. Wyznaję, że gromy, jakie osiągnęło ze strony towarzysza-redaktora uwydatnienie i pochwalenie przezemnie uchwalonego przez zjazd P. P. S. zab. pruskiego hasła samorządu, były dla mnie

niespodzianką. Zastanowić się musiałem nad ich źródłem psychologicznem. I oto — słowo daję, że nie chciałbym robić z igły wideł — ale czuję potrzebę wyrażenia obawy, czy czasem u niektórych naszych towarzyszy — *plus catholiques que le pape* — nie zjawia się coś, co możnaby może nazwać nacyonalistyczną*) jednostronnością. Stawiając hasło niepodległości Polski z naciskiem, przeciwko któremu żaden rozsądny człowiek nic mieć nie może, wyobrażają oni sobie jednak, że wszelkie postawienie równolegle z tem hasłem hasła lokalnego i czasowego jest już „zanieczyszczaniem świadomości proletaryatu". Jest to błąd tej samej natury, co radykalno-rewolucyjno-abstrakcyjne stanowisko Guesde'a we Francyi lub Luxemburg w Niemczech, błąd, który w warunkach parlamentarnych może być szczególnie szkodliwy. Jeżeli zaś tow. Pł. pragnie — całkiem słusznie — wystawienia takich haseł, jak zniesienie praw antyjęzykowych, założenie uniwersytetu w Poznaniu (chyba polskiego?) etc., to przecież hasło autonomii jest tylko ich zintegrowaniem i zagwarantowaniem prawno państwowem. Natomiast w warunkach absolutystycznych pod caratem, jak to już zaznaczałem, wystawienie tylko bezwzględnych haseł może być bardzo dobrem przy uświadamianiu ludu; choć i tam okazało się przecie niezbędnem i pożytecznem zaznaczenie, że nie jesteśmy przeciwnikami konstytucyi w granicach państwowości rosyjskiej.

I tak myślę, że jeżeli P. P. S. uznała za stosowne ogłosić odnośne oświadczenie w Nrze 9 „Robotnika" i powtórzyć w „Sprawozdaniu z 5 lat", to miało to na celu albo zatrzymanie w swych szeregach albo pozyskanie kogoś, komu stanowisko P. P. S. w tej kwestyi przed tem nie wydawało się dość jasnem. Dlatego conajmniej przesadzonem wydaje mi się twierdzenie tow. Pł., że oświadczenie to „nie nawróciło na program P. P. S. ani jednego S. D". I dlatego też obstaję przy swem twierdzeniu, że żądanie autonomii utrudni intrygowanie p. Luxemburg i jej podkomendnym. Nie powiedziałem bowiem wcale, że pozwoli nam pozyskać jej teraźniejszych zwolenników, jak nie powiedziałem też, że dzięki temu hasłu *unikniemy* prześladowań, a tylko, że je *utrudnimy*, a ułatwimy sobie obronę.

Do „jednostronności nacyonalistycznej", o której napomknąłem wyżej, wypadnie mi zapewne powrócić, kiedy zabiorę się do rozważania *naszego kryzysu* wogóle, z powodu artykułów tow. B. A. J., Mazura i innych. Na dziś dość. Tow. Pł. uprzedził mnie, że, jako redaktor, będzie miał w każdym razie ostatnie słowo. Niech je ma. Co do mnie, jestem tak przekonany, że sam ruch praktyczny miejscowy będzie musiał — już zresztą musiał — to hasło, właśnie dlatego, że jest ono i teoretycznie uzasadnionem, na front wysunąć, że z całym spokojem mogę nadal znosić i twierdzenia, że „z rzeczy do niczego nie przydatnej, chcę wyciągnąć wielką korzyść" i nawet trafne porównania z „ekonomicznymi" S. D. rosyjskimi.

M. Luśnia.



*) Czy potrzebuję zaznaczać, że ten wyraz pod mojem piórem nie ma nic ubliżającego, nic wspólnego z perfidnemi asymilacyami do francuskich szowinistów.

Zamknięcie dyskusyi

Żałuję mocno, że replika tow. Luśni nadeszła zbyt późno, wskutek czego nie mogła już być umieszczona w N. 9-ym. Dziś, kiedy od czasu ukazania się artykułu tow. Luśni i mojej nań odpowiedzi minęły dwa miesiące, i jego i moje argumenty do pewnego stopnia musiały się zatrzeć w pamięci czytelników. Wobec tego należy przypomnieć pokrótce główne punkty polemiki. Postaram się tedy uczynić to w sposób jaknajbardziej treściwy.

Tow. Luśnia przyznaje, że zdobycie faktyczne samorządu prowincyi polskich w Prusiech wcale nie jest prawdopodobnem i twierdzenie to uzasadnia w sposób zupełnie przekonywający. Pomimo to jednak uważa za stosowne posługiwanie się dziś hasłem autonomii polskich dzielnic Prus, tak samo jak jednakowo nieziszczalnemi hasłami „autonomii żywych narodowości“ w Austryi lub „wyodrębnienia“ w Galicyi. A to ze względów następujących: hasło to wypływa z logiki sytuacyi i jest bardzo pożyteczne. Praktyczność jego polega na tem, że stanowi dobry środek agitacyjny *na dziś,* najbardziej sprzyjając, a najmniej przeszkadzając uświadamianiu ludu i rowojowi partyi. Używając tego hasła, ułatwimy sobie wyzyskanie parlamentaryzmu niemieckiego; unikniemy procesów o zdradę stanu, prześladowań itd.; zdobędziemy środek demaskowania polskich stronnictw, wrogich socyalizmowi; pozyskamy „uczciwych“ przeciwników programu P. P. S.; nareszcie utrudnimy socyalhakatystom zwalczanie nas za pomocą złej woli i potwarzy. Odpowiadając na artykuł tow. Luśni, usiłowałem zbić kolejno wszystkie jego twierdzenia — punkt po punkcie. Przedewszystkiem wykazywałem, że hasła „autonomii polskich dzielnic Prus“ nie podobna zestawiać z hasłami „autonomii żywych narodowości w Austryi“ lub „wyodrębnienia Galicyi“, ponieważ autorowie tak pierwszego, jak i drugiego uważali je za zupełnie możliwe do urzeczywistnienia i tak też zostało zrozumiane pierwsze z tych haseł przez masy robotnicze, a drugie – przez stronników projektu p. Studnickiego. Następnie dowodziłem, że niema żadnej analogii pomiędzy hasłem „autonomii polskich dzielnic Prus“ a hasłem 8-godz. dnia roboczego przy dążeniu do jeszcze krótszego lub konstytucyi rosyjskiej przy dążeniu do niepodległości. W dalszym ciągu zbijałem twierdzenie tow. Luśni jakoby hasło „aut. pol. dz. Prus“ wypływało z logiki sytuacyi, gdyż ewolucya polityczna Niemiec może tylko zmniejszać widoki „autonomii“. W końcu starałem się obalić cztery pozostałe argumenty tow. Luśni. Nadto przedstawiłem niesłychaną trudność wytykania już dzisiaj granic tego obszaru, który się ma obdarzyć autonomią.

Zobaczmyż teraz jak tow. Luśnia reagował na moje kontrargumenty i oceńmy wartość jego zarzutów.

Tow. Luśnia przypomina mi artykuły Kautsky'ego i Daszyńskiego w sprawie „autonomii żywych narodowości austryackich“, które wrzekomo miałem zapomnieć. Niestety, pamiętanie o nich wcale nie pomogło tow. Luśni. Ja pisałem: „... nie ma żadnych a żadnych podstaw do twierdzenia, jakoby socyaliści *wiedeńscy* (autorowie owej rezolucyi berneńskiej) uważali to hasło za nienadające się do urzeczywistnienia. Przynajmniej tak przed kongresem berneńskim, jak i potem, kiedy dyskutowano w tej sprawie na łamach niemieckiej i czeskiej prasy partyjnej, traktowano ją jako zupełnie możliwą do urzeczywistnienia. Cóż mówi tow. Luśnia? „Być też może, że tow. Austerlitz, redakcya Arbeiterzeitung*), a nawet wogóle socyaliści wiedeńscy ... optymistycznie zapatrują się na widoki

*) NB. „Centralny organ“ socyalnej demokracyi Austryi!

urzeczywistnienia tego hasła". A więc tow. Luśnia najzupełniej *zgadza się ze mną*. Jeśli zaś mówi, że Daszyński (socyalista bynajmniej nie wiedeński i, jak cała P. P. S. zaboru austryackiego, przyjmujący program narodowościowy socyalistów austryackich z dodaniem doń niepodległościowej deklaracyi berneńskiej) musiał mitygować optymizm Kautsky'ego, to znaczy, że ten optymizm *istniał* i u Kautsky'ego (znowu nie wiedeńskiego i nie austryackiego — w ścisłem słowa znaczeniu — socyalisty). I gdyby nie „glossa" Daszyńskiego, możebyśmy dotychczas Kautsky'ego uważali za „optymistę" na punkcie „autonomii żywych narodowości Austryi". Zresztą, dajmy pokój Kautsky'emu, boć sam tow. Luśnia mówi, że jego artykuł nie decyduje o tem, co myśleli uczestnicy kongresu berneńskiego. Wróćmy więc do socyalistów austryackich. Otóż tow. Luśnia zaznacza, że (oprócz wiedeńczyków) i pomiędzy socyalistami czeskimi „niektórzy trwają nadal w swym austryackim optymizmie". A więc znowu przyznaje mi słuszność, bo stwierdza fakt, że wśród socyalistów austryackich panuje przekonanie o możliwości urzeczywistnienia hasła „autonomii żywych narodowości". Że pesymistyczne przekonanie, jak się tow. Luśni „zdaje" — „teraz coraz bardziej rozpowszechnia się między socyalistami czeskimi", to mnie bynajmniej nie dziwi. Ale sądzę w przeciwieństwie do niego, że skoro wśród austryackich socyalistów takich pesymistów będzie więcej — „hasło autonomii żywych narodowości", jak się wyraża tow. Luśnia, dyabli wezmą — będzie ono poprostu umieszczone w muzeum cennych pamiątek historycznych, jak i nasza uchwała berlińska — ku wielkiemu zmartwieniu towarzyszy wiedeńskich i — tow. Luśni. Albowiem takie hasła które nie są zrozumiałe dostatecznie dla ludzi stojących na czele partyi, które mogą być przez jednych pojmowane jako nieziszczalne, przez innych zaś jako łatwo nadające się do przeprowadzenia, mogą tylko zanieczyszczać świadomość *szerokich mas ludowych* i w żadnym razie agitacyi nie ułatwią. Używanie w Austryi tego hasła należy przypisać jedynie „optymizmowi" wiedeńskiego kierownictwa partyjnego, a nie tym misternym kombinacyom filozoficzno-programowym, jakie buduje tow. Luśnia za Kautsky'm. Skoro „optymizm" zaniknie — i samo hasło przestanie być uważane za stosowne.

Tow. Luśnia porównywa też hasło „autonomii żywych narodowości" z hasłem 8-godz. dnia pracy i na poparcie swego twierdzenia przytacza słowa tow. B. A. J., które właśnie mogą być wysunięte nie przeciwko mnie, ale przeciwko tow. Luśni. Wszak 10-godz. dzień roboczy bynajmniej nie jest jakiemś oderwanem „hasłem", tylko zupełnie możliwem do osiągnięcia żądaniem. To też, jeśli socyaliści niemieccy po drodze do 8-godz. dnia roboczego pragną zagwarantować sobie bodaj 10-godzinny, to są politykami praktycznymi i świadomości mas ludowych bynajmniej nie zanieczyszczają, wysuwają tylko na plan pierwszy żądanie, które da się łatwiej uskutecznić. Tymczasem w wypadku używania „autonomii polskich dz. Prus", jednocześnie nie wierząc w jej urzeczywistnienie, każemy masom dążyć do celu mniej prawdopodobnego (a raczej wcale nieprawdopodobnego) zamiast do jedynego, jaki się uważa za jedynie możliwy. Wielka różnica!

Rzecz charakterystyczna, że tow. Luśni, absolutnie nie wierzącemu w możliwość urzeczywistnienia hasła „aut. polsk. dz. Prus", wymykają się jednak takie powiedzenia, jak „a gdyby przypadkiem rada została wysłuchana...." Jeśli tow. Luśnia chowa gdzieś na dnie duszy jakieś wątpliwości, to cóż dopiero mówić o robotniku „masowym", w którego głowie poprostu powstanie chaos.... Z hasła tedy, mającego niby ułatwić agitacyę — mamy w rezultacie chwast szkodliwy.

Analogię z „wyodrębnieniem Galicyi" tow. Luśnia wycofał zupełnie, snadź spostrzegłszy, że ten argument na nic się nie przydaje. Wobec tego pomijam tę sprawę.

Oczekiwałem że tow. Luśnia wykaże dowodnie, iż hasło „aut. polsk. dz. Pr.“ wypływa z logiki sytuacyi politycznej żywiołu i socyalistycznego ruchu polskiego w Niemczech. Tymczasem, zamiast argumentów za tem, spotykam dopiero w ostatnich wierszach repliki tow. Luśni zapewnienie, iż „jest *przekonany*“, że hasło to sam ruch praktyczny miejscowy będzie *musiał* na front wysunąć. Sądzę, że czyjegoś „przekonania“ — nawet głębokiej wiary w słuszność danego twierdzenia jeszcze za mało dla zdobycia dlań zwolenników, wobec czego to zapewnienie tow. Luśni nie zachwiało mojej nieufności do hasła „aut polsk. dz. Pr.“.

Resztę moich argumentów tow. Luśnia też zbywa paru słowami. O demaskowaniu wrogich socyalizmowi stronnictw polskich nie mówi nic, zatem chyba uznaje słuszność moich dowodów tak samo, jak i w kwestyi wyzyskiwania parlamentaryzmu. Obstaje natomiast przy twierdzeniu, że żądanie autonomii utrudni intrygowanie socyalhakatystom. Czyż tow. Luśnia nie przypomina sobie, jakie wybuchy wściekłości wywołała u Wintera skromna wzmianka tow. Morawskiego o konieczności autonomii polskiej w związkach zawodowych? Zresztą do tych względów tow. Luśnia zdaje się nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi, to też możemy dłużej nad nimi się nie zastanawiać.

Zastanówmy się natomiast nad „ostatnim, jakiby był powinien wyjść z pod mego pióra“ argumentem.

Mówiłem, że „bliższe opracowanie“ hasła autonomii nasuwa bardzo wielkie trudności. Tow. Luśnia odpowiada mi na to z wielkiem oburzeniem, że pocisk ten przenosi cel i bije — wogóle we wszelkie hasło terytoryalnego oddzielenia polskich krajów od Niemiec, a więc i w dążenie do zlania ich z niepodległą Polską“. Nie przeczę, że sprawa terytoryalnego oddzielenia zaboru pruskiego — przynajmniej w Poznańskiem i Prusach Zachodnich — jest bardzo skomplikowana. Ale — jak słusznie przypuszcza tow. Luśnia — sądzę, że „sam ruch rewolucyjny rozstrzygnie jaki okręg odpadnie do niepodległej Polski“. Innemi słowami kwestyę tę rozstrzygnie ta partya rewolucyjna, która w danym okręgu będzie stanowiła siłę kierowniczą. Gdyby *dziś* wytykano granice pomiędzy Niemcami a Polską, my — t. j. P. P. S. zaboru pruskiego — musielibyśmy poprzestać jedynie na tem, coby nam Niemcy raczyli odstąpić z łaski, bo nasze „prawa“ do olbrzymiej większości polskiego terytoryum Prus byłyby jedynie niczem nie popartemi „pretensyami“ w oczach niemców. Dopiero, kiedy będziemy stanowili siłę na własnych śmieciach, dopiero wówczas rozpoczniemy wytykanie granic, bo dopiero wówczas będziemy w stanie wykazać nasze rzeczywiste prawa do tego lub innego szmatu ziemi. Wysunięcie zaś hasła „autonomii polsk. dz. Prus“ wymaga już *dziś* wytknięcia tych granic, co dobrze rozumie tow. Luśnia, który próbuje też określić kierunek, w jakim wypadnie rozwiązanie i odrazu napotyka, sam tego nie uważając, na cały szereg sprzeczności. Kierunek bowiem, jaki proponuje, jest bardzo dobry dla Górnego Śląska i Mazowsza wschodnio-pruskiego, gdzie istotnie na czystopolskim obszarze etnograficznym rozsiane są stosunkowo drobne niemieckie wysepki miejskie. Ale już w Poznańskiem, a tembardziej w Prusach Zachodnich mamy terytorya dość znaczne, otoczone zewsząd przez ludność odmienną, różne kliny, wyspy, zatoki, gdzie żadne głosowanie nie zdoła przeprowadzić granicy etnograficznej, nadającej się do służenia za granicę polityczną. Powszechne głosowanie jest bardzo piękną rzeczą — ani słowa; tylko wynik jego zależy zawsze od tego, kto i w jakich warunkach je przeprowadza. Czyż tow. Luśnia nie słyszał o *polskich* socyalistach w Poznaniu, twierdzących, że polskiego pisma nie potrzeba? Ładniebyśmy wyglądali, gdyby pp. Matuszewscy i S-ka dziś już mieli określać, czy Poznań ma należeć do Niemiec, czy do Polski! Tow. Luśnię nie smuci strata Warmii, ktoś inny może łatwo przeboleć utratę trzech ćwierci Prus Zachodnich, jeszcze inny ustąpi dziś niemcom połowę Poznańskiego, a ktoś nareszcie zadowolni się przyłączeniem do Polski niepodleg-

łej jedynie Górnego Śląska i Mazowsza wschodnio-pruskiego. Tymczasem, nie śpiesząc z wytykaniem granic, co jest konieczne przy używaniu hasła „autonomii“, natomiast budząc potrzebę niepodległości polityczno-narodowej w jaknajszerszych masach ludowych, temsamem przygotowujemy grunt do jaknajkorzystniejszego dla nas rozgraniczenia się z Niemcami. Tam, gdzie ruch socyalistyczny będzie się rozwijał pod naszym sztandarem, tam, gdzie my będziemy kierowali akcyą rewolucyjną — na tym szmacie ziemi nikt nie będzie mógł nam odmówić praw do niepodległości. Jeśli zaś nie zdołamy wytworzyć polsko-socyalistycznej przewodniej siły rewolucyjnej nawet na terytoryum o 99% ludności polskiej, to z tego terytoryum będziemy musieli skwitować na rzecz tych, którzy będą mieli nań wpływ większy.

Tego, co tow. Luśnia mówi o mojej „jednostronności nacyonalistycznej“, nikt z czytelników nie weźmie na seryo wobec powyższego rozumowania. Jeśli publicysta tej miary, co Luśnia, musi budować swą argumentacyę na tak kruchych podstawach, to świadczy to bardzo fatalnie o wartości zachwalanego przezeń hasła. Zresztą, czekam z niecierpliwością artykułów tow. Luśni o „naszym kryzysie“, choćbym miał w nich osobiście odgrywać rolę „Piłata w credo“.

L. Płochocki.

Z socyalistycznej publicystyki rosyjskiej

„Goniec Rosyi Rewolucyjnej“ i jego stanowisko w sprawie narodowości ujarzmionych. — Socyaliści rewolucyoniści i socyalni demokraci. — Charakterystyka wzajemnych stosunków różnych odłamów rosyjskiego obozu socyalistycznego według „Nakanunie“. — „Swoboda“ i jej charakter. — „Iskra“ o terorze. Dekadencya rosyjskiego ruchu socyalnodemokratycznego. — „Iskra“ a ruch polski. — Curiosa z „Rab. Dieła“. — Sprawozdanie z ruchu rosyjskiego. — „Historya“ żydowskiego ruchu robotniczego w Rosyi i Polsce. — „Byłoje“. — Wznowienie „Narodowolca“.

Ożywienie, jakie zapanowało w rosyjskim obozie rewolucyjnym w pierwszej połowie bieżącego roku, wpłynęło i na wzrost produkcyi literackiej socyalistów rosyjskich. Dotyczy to nie tylko socyalnych demokratów, ale i socyalistów-rewolucyonistów, którzy świeżo wystąpili z zakrojonym na szerszą skalę przeglądem — „Wiestnik Russkoj Rewolucyi“ („Goniec Rewolucyi Rosyjskiej“), wychodzącym w Paryżu pod redakcyą K. Tarasowa. Mamy właśnie przed sobą pierwszy numer tego przeglądu, obejmujący 372 strony, a więc nieco większy nawet od N. 1-go organu socyalnych demokratów „Zaria“. Na czele numeru znajdujemy artykuł p. t. „Nasz program“ w którym wydawcy „G. R. R.“ oświadczają, że są ideowymi spadkobiercami „Narodnej Woli“ i podejmują nanowo przerwaną jej pracę, przystosowując tylko swą taktykę do zmienionych obecnie stosunków społecznych Rosyi. Nie będziemy tu omawiali szczegółowo pojedyńczych punktów programu nowego pisma, gdyż różnice programowe poszczególnych grup rosyjskiego obozu rewolucyjnego, o ile dotyczą spraw specyalnie rosyjskich (jak np. poglądy na obszczynę, ten lub inny stosunek do agitacyi wśród włościaństwa, mniej lub bardziej optymistyczne traktowanie roli inteligencyi w ruchu itd.), mało nas bezpośrednio obchodzą. Dla nas przy ocenianiu taktyki tej czy owej grupy rosyjskiej ważnym jest przedewszystkiem jej stosunek do nas i naszych dążności politycznych jako też i do

innych narodów, przez carat ujarzmionych, oraz jej pogląd na walkę polityczną. Otóż co do tej ostatniej to w nowym organie, jak i we wszystkich wydawnictwach kierunku, który reprezentuje „G. R. R.“, nie spotkamy oczywiście żadnych objawów wahania się, które często można zauważyć u socyalnych demokratów. „G. R. R.“ wypowiada się stanowczo przeciwko samowładztwu carskiemu, ale nie mówi nam wcale, jak ma wyglądać przewrót polityczny w Rosyi, w jaki sposób pragnie go dokonać organizacya, reprezentowana przez „G. R. R.“, i jak wyobraża sobie Rosyę rewolucyjną. Odwołanie się do tradycyi „Narodnej woli“ nie zastąpi jasnego wypowiedzenia się we wszystkich tych kwestyach, tak samo jak kilka słów o terorze. Widać, że i socyaliści rewolucyoniści, podobnie jak i socyalni demokraci rosyjscy, nie posiadają w tym względzie jasno określonych poglądów. Tłómaczy się to zresztą słabością ruchu rosyjskiego, który ma przed sobą bardzo długą jeszcze drogę rozwoju, zanim poczuje się na siłach do rozpoczęcia walki z rządem na całej linii.

Stosunek swój do narodowości, przez carat podbitych, G. R. R. określa dość szczegółowo w porównaniu np. z organami socyalnych demokratów. Przytaczamy odnośny ustęp dosłownie: „Wśród gnębionych ras i narodowości musimy wystąpić w roli szczerych obrońców ich praw i ich postępowego rozwoju, nie sprzeciwiających się idei międzynarodowego socyalizmu i interesom mas pracujących wewnątrz tych wielkich grup historycznych. Nie zapominajmy, że np. w danej chwili ruch robotniczy najlepiej jest zorganizowany wśród żydów kraju Zachodniego (!!); i zupełna solidarność tego ważnego oddziału z całą rosyjską armią rewolucyjną jest jednym z najistotniejszych warunków powodzenia wspólnej sprawy. To samo można powiedzieć i w stosunku do polaków, wśród których ruch socyalistyczny opiera się już na trwałej organizacyi proletaryatu i którym przyznajemy, oprócz tego, bez żadnych zastrzeżeń prawo samodzielnego rozporządzania swym krajem i losem historycznym. W Finlandyi, której lojalizm zachwiał się wskutek zdradzieckich i antykonstytucyjnych postępków „wielkiego księcia“, musimy stanowczo stanąć po stronie liberalnej opozycyi, nie mówiąc już o młodym ruchu robotniczym tego malutkiego, ale pełnego otuchy i kulturalnego kraju. Na Kaukazie nasza rola polega na przyznaniu prawa do zupełnie swobodnego rozwoju narodowego wszystkim narodowościom miejscowym, których separatyzm istnieje jedynie w chorobliwej fantazyi satrapów carskich, itd.“

Ustęp ten nie wydaje się nam jasnym. Uznajemy dobrą wolę „G. R. R.“ w stosunku do Polski, ale sądzimy, że członkowie redakcyi „G. R. R.“ nie zupełnie zdają sobie sprawę albo z własnych słów, albo też z naszych dążności. Bo inaczej trudno wytłómaczyć sobie solidaryzowanie się jej z „Bundem“, wręcz przeciwnym temu, co „G. R. R.“ przyznaje nam „bez zastrzeżeń“. Solidaryzowanie się z „Bundem“ i jednocześnie uznawanie prawa tego terytoryum, na którem „Bund“ działa, do niepodległości, wbrew woli „Bundu“, zwalczającego dążności niepodległościow polakówe i litwinów — jest szczytem nielogiczności. Następnie, nie wiadomo, co rozumieć pod określeniem „prawa i rozwój postępowy, *nie sprzeciwiające się* idei międzynarodowego socyalizmu i interesom mas pracujących wewnątrz tych wielkich grup historycznych“. Kto ma określać, czy prawo danej narodowości „nie sprzeciwia się“ idei międzynarodowego socyalizmu i interesom mas pracujących“? Oto np. pomiędzy socyalistami niemieckimi znaleźli się tacy, którzy powiadają, że samodzielna organizacya P. P. S. właśnie „sprzeciwia się idei międzynarodowego socyalizmu“. Tak samo i w obozie socyalistów rosyjskich mogą się znaleźć osobniki, twierdzące, że np. oddzielenie się od Rosyi Litwy lub Ukrainy „sprzeciwia się idei międzynarodowego socyalizmu“. Czyż nie lepiej było zamiast niejasno wystylizowanego zdania oświadczyć, że G. R. R. przyznaje „bez zastrzeżeń“ *każdemu narodowi*, a nie tylko Polsce prawo do stanowienia o swym losie. Uniknęło by się w ten sposób zbytecznych nieporozumień.

Większa część artykułów teoretycznych „G. R. R.“ (1881—1901, Cel ostateczny i walka codzienna socyalizmu rewolucyjnego, Ławrow jako filozof, kwestya robotnicza i rewolucya) posiada zbyt oderwany od życia charakter Wszystkie one zajmują się bardziej przeszłością, rozpamiętywaniem działalności „Narodnej Woli“ aniżeli konkretnemi zadaniami dnia dzisiejszego. Nie przyczynia się to do ożywienia pisma, które, pomimo działów o charakterze kroniki bieżącej, sprawia wrażenie czegoś nieaktualnego, dalekiego od rzeczywistego życia i ruchu.

Wypadki marcowe, które zaskoczyły znienacka wszystkie bez wyjątku odłamy rosyjskiego obozu socyalistycznego i pokazały, jak fatalnem jest teraźniejsze rozbicie tego obozu na mnóstwo grup, przyczyniły się w znacznym stopniu do wzmocnienia dążności pojednawczych wśród socyalistów rosyjskich. Wyrazem tych dążności jest list socyalnego demokraty do redakcyi „G. R. R.“ p. t. „Cóż nas dzieli?“. Autor przychodzi do przekonania, że właściwie *nic* nie dzieli socyalnych demokratów i socyalistów-rewolucyonistów, gdyż obydwa odłamy doskonale dopełniają się wzajemnie. Redakcya i znaczna część współpracowników „G. R. R.“ również niejednokrotnie wypowiadają myśl, że zbliżenie dotychczas wrogich grup rewolucyonistów rosyjskich jest możliwe i pożądane.

Ciekawy przyczynek do kwestyi wzajemnych stosunków poszczególnych frakcyi dzisiejszego obozu socyalistycznego w Rosyi znajdujemy w ciekawych szkicach „W kwestyach dnia“ Borysa Olenina, drukujących się w londyńskim miesięczniku socyalno-rewolucyjnym „Nakanunie“ (Nr. 33). Autor ich powiada: „Ani socyalni demokraci, ani socyaliści-rewolucyoniści nie stanowią obecnie dwóch odrębnych i zamkniętych w sobie całości. I jedni i drudzy nie są dwiema jednostkami organizacyjnemi, lecz stanowią dwa *prądy*, rozpadające się na różne frakcye, grupy, związki, organizacye. Socyalni demokraci posiadają obecnie swe lewe skrzydło, reprezentowane w literaturze przez pisma „Iskra“ i „Zaria“, swe „centrum“ — „Raboczeje Dieło“ i swe skrzydło prawe — „Raboczaja Mysl“. Tak samo swą lewicę i prawicę posiadają i socyaliści-rewolucyoniści. Na prawem skrzydle np. mamy większość t. zw. „partyi socyalistów-rewolucyonistów“ z jej niezbyt dawno ogłoszonym „manifestem“, a na lewem „związek socyalistów-rewolucyonistów“, który wydaje „Rewolucyjną Rosyę“. Socyalno-rewolucyjne organy, wydawane za granicą — „Nakanunie“ i „Wiestnik russkoj rewolucyi“ — obydwa zajmują skrajnie lewe skrzydło rewolucyjno-socyalistycznego kierunku, ściśle łączące się ze sławnemi tradycyami „Narodnej Woli“ . . . Jeśli *lewe* skrzydła socyalistów-rewolucyonistów oddzielone jest całą przepaścią od prawego skrzydło socyalnych demokratów, to, naodwrót, pomiędzy *prawem* skrzydłem socyalistów-rewolucyonistów a lewem skrzydłem socyalnych demokratów można znaleźć daleko więcej wspólnego. Jeśli zaś weźmiemy grupy, stojące na granicy pomiędzy socyalnymi demokratami i socyalistami-rewolucyonistami — takie grupy „Raboczeje Znamia“, „Raboczaja Wola“, „Socyalist“ itd., to będziemy mieli i szereg pośrednich stopni, niepostrzegalnych przejść, wypełniających całą przestrzeń, pozostającą przecież między najbliższymi wzajemnie żywiołami socyalnodemokratycznego i socyalnorewolucyjnego kierunków.“

Zdaje się, że jedną z takich grup, stojących na granicy pomiędzy socyalnymi demokratami a socyalistami-rewolucyonistami jest rewolucyjno-socyalistyczna grupa „Swoboda“, której wydawnictwo p. t. „Odrodzenie rewolucyonizmu w Rosyi“ „Przedświt“ już omówił w swoim czasie *). Świeżo grupa ta wystąpiła z „pismem dla robotników“ — „Swoboda“, stanowiącem niepowszednie zjawisko w rosyjskiej publicystyce socyalistycznej. „Swoboda“ — zeszyt o 255 stronach przeważnie

*) Patrz „Bibliografię“ N. 7-go.

bujnego druku — zawiera szereg wzajemnie dopełniających się artykułów, napisanych z niezaprzeczonym talentem popularyzatorskim, z ogromną werwą, bardzo przystępnie i zrozumiale. Zakładając nowe pismo, organizacya „Swoboda“ miała zamiar dać materyał do czytania tej szerokiej masie robotników, dla której nie są jeszcze dostępne zwykle wydawnictwa agitacyjne różnych grup rosyjskich ze względu na swą niepopularność i — trzeba przyznać — wywiązała się ze swego zadania doskonale. W N. 1 „Swobody“ robotnik, dopiero poczynający się interesować stosunkami społecznymi i politycznymi, znajdzie odpowiedź na najbardziej obchodzące go pytania — i to odpowiedź, podaną w formie jaknajprzystępniejszej, żywej i ponętnej. Taki charakter mają artykuły: „O sytych i głodnych“, „Carskie samowładztwo w Rosyi“, „Co to jest rewolucya?“ „Uniwersytet i pałac“, „Uniwersytet i lud“, „Carowie jeszcze nie tchórzą“, Feldfebel i strażnik więzienny“, „Kryminalni i polityczni przestępcy“, „Mozgi dwugłowego orła“ itd. Wydawcy „Swobody“ są tego, całkiem słusznego, zdania, że i najmniej uświadomionym robotnikom należy mówić bez ogródek o walce politycznej, to też tendencya walki z samowładztwem carskiem o swobody polityczne jak nić czerwona wije się przez wszystkie artykuły nowego pisma. „Swoboda“ nie bawi się w scholastyczne roztrząsanie wszystkich możliwych i niemożliwych argumentów za i przeciw w kwestyach zasadniczych, jak to czynią inne rosyjskie pisma rewolucyjne, umiejące niekiedy najprostszą sprawę oplątać siecią czczej frazeologii aż do zupełnego jej zaciemnienia; przekonywa ona swych czytelników jasnością i logicznością rozumowań, trafnym doborem argumentów najprostszych i jednocześnie zastosowanych doskonale do całego poglądu na świat przeciętnego robotnika rosyjskiego. Pismo podobne niechybnie musi zdobyć sobie wielką popularność w sferach robotniczych, łaknących właśnie takiego pokarmu duchowego, jak o tem można się przekonać z różnych wzmianek we wszystkich prawie organach rosyjskiej prasy rewolucyjnej. Takie pismo, jak „Swoboda“ może oddać bardzo wielkie usługi w walce z tym „czystoekonomicznym“ kierunkiem, który reprezentuje petersburska „Raboczaja Mysl“, i w ten sposób dopełniać działalność przeznaczonej dla bardziej uświadomionej części robotników i inteligencyi „Iskry“.

W jednym z ostatnich NN. „Iskry“ znajdujemy ciekawą polemikę z mniej wyraźnym kierunkiem socyalnodemokratycznym, reprezentowanym przez „Roboczeje Dieło“ — polemikę w sprawie taktyki terorystycznej. Kwestya teroru po zamachach Łagowskiego i Karpowicza znowu stała się przedmiotem dyskusyi w kołach rewolucyonistów rosyjskich. Ciekawem jest więc stanowisko w tej sprawie „Iskry“, jako stanowisko najpoważniejszego obecnie organu socyalnych demokratów rosyjskich. Oto co pisze „Iskra“:

Według słów „Rab. Dieła“ ostatnie wypadki rosyjskie wysunęły zupełnie nową (? pytajnik „Iskry“) kwestyę. Wystrzały Karpowicza i Łagowskiego i ta sympatya z jaką spotkała ich wystąpienia młodzież i wszystkie (? pyt. „Iskry“) rewolucyjne elementy, świadczy, że biały teror rządu carskiego wytwarza grunt dla czerwonego teroru rewolucyonistów. „Rab. Dieło“ wobec tego nawołuje „nasze organizacye partyjne“ do wspólnego rozwiązania kwestyi stosunku do teroru. Kwestya tak „nowa“ dla „Rab. Dieła“ — poucza „Iskra“ wcale nie jest nową dla socyalnej demokracyi rosyjskiej. Na początku dziewiątego dziesięciolecia olbrzymia większość rewolucyonistów rosyjskich była przekonana, że walka polityczna w Rosyi możliwa jest jedynie w formie walki terorystycznej partyi spiskowej. Przyczyna tego tkwiła w niepowodzeniu uprzednich prób wywołania szerokiego ruchu ludowego za pomocą propagandy i agitacyi wśród tego ostatniego. Chłopi nie stanowili siły, zdolnej do walki rewolucyjnej, proletaryat był jeszcze zanadto niedojrzały, a ruch liberalny, tak samo, jak i obecnie, nie był samodzielną siłą rewolucyjną. Stąd cała nadzieja w spisku nielicznych jednostek, któreby za pomocą teroru zdezorganizowały rząd. Taką była taktyka narodowolców, która

nie doprowadziła do niczego, pomimo zabicia samego cara. Socyalna demokracya rosyjska wzrosła i rozwinęła się w walce z tym kierunkiem, wierząc że rozwijając i organizując walkę klasową proletaryatu, przyczynia się do wytworzenia z niego takiej siły, która z czasem będzie mogła wywalczyć nstępstwa ze strony rządu. Pierwsza część tego zadania została przez socyalnych demokratów wypełniona, ruch socyalnodemokratyczny ogarnął masy robotnicze, ale właśnie wówczas kiedy czas było przejść do walki czynnej z samowładztwem, wśród socyalnych demokratów rosyjskich powstaje kwestya teroru — jako kwestya „zupełnie nowa". Przyczynę tego zjawiska „Iskra" upatruje w upadku nastroju rewolucyjnego socyalnej demokracyi rosyjskiej, datującego się od r. 1898, w miarę rozwoju w niej kierunku „ekonomicznego" i „krytyki marksizmu". Rosyjski ruch socyalnodemokratyczny, który już był dosięgnął tego poziomu, że próbował wytworzyć partyę polityczną o określonem zadaniu najbliższej przyszłości, *poczyna widocznie upadać.* Miejsce wiary w bliskość stanowczej rozprawy z samowładztwem zajmuje pewność, że w ciągu bardzo długiego peryodu działalność walczących może objawiać się jedynie w codziennej walce o częściowe polepszenie losu klasy robotniczej; miejsce przekonania o roli przewodniej, jaką proletaryat rosyjski powinien odegrać w ogólnonarodowej walce z samowładztwem, zajmuje milczące uznanie tego, że proletaryat może za pomocą tylko swojej czystoekonomicznej walki podkopywać ustrój panujący, wytworzyć w nim mniejszy lub większy „nieład", ale czynnie pracować nad jego przekształceniem powinno liberalne „społeczeństwo". Ci z pomiędzy rewolucyonistów, którzy nie mogli związać wszystkich swych nadziei politycznych z liberalnem społeczeństwem, ci którzy nie mogli zajmować się jedynie ekonomiczną agitacyą, ale którzy jednocześnie zarazili się modną nieufnością względem zdolności politycznych rosyjskiej klasy robotniczej, musieli szukać wyjścia w dawnym programie rewolucyjnym — t. j. w walce terorystycznej. W ten sposób „Iskra" zapatruje się na najnowsze sympatye pewnych kół socyalistów rosyjskich jako na smutny fakt dekadentyzmu rewolucyjnego i upadku socyalnej demokracyi.

Mówiąc o „Iskrze", niepodobna pominąć dziwnej taktyki tego pisma względem socyalistycznego ruchu polskiego. Wiadomo, że przedstawicielem „Iskry" jest tow. Plechanow, który niejednokrotnie składał dowody zrozumienia doniosłości kwestyi polskiej i dążeń politycznych P. P. S. Tem nieprzyjemniej uderza nas to tendencyjne zamilczanie o rzeczywistych objawach ruchu w zaborze rosyjskim. „Przedświt" podnosił już charakterystyczny fakt, że „Iskra", poświęcając obszerny artykuł sądom wojennym w Warszawie, potrafiła ułożyć go w ten sposób, ażeby ani razu nie wspomnieć o P. P. S., która przecież z powodu tych sądów figurowała we wszystkich pismach legalnych, w komunikacie urzędowym. Otóż cały ruch polski „Iskra" traktuje w ten sam sposób, drukując natomiast niestworzone bajdy o „działalności" S. D. i przedstawiając tę ostatnią jako coś posiadającego prawo do reprezentowania polskiego ruchu robotniczego. Kogo się chce w ten sposób okłamać? O ile socyaliści rosyjscy chcą i muszą się liczyć z ruchem polskim, to muszą się liczyć nie z jakiemiś nawpół fantastycznemi efemerydami, ale *z naszą partyą* — czy się to im podoba, czy też nie. Wobec tego udawanie przed czytelnikami, że się nie widzi organizacyi, wydającej regularnie cały szereg pism peryodycznych i mnóstwo broszur, organizacyi istniejącej nieprzerwalnie od 8½ lat i kierującej niepodzielnie wszystkiemi poważniejszemi wystąpieniami proletaryatu polskiego, jest poprostu kompromitująco śmieszne, a w każdym razie nader nieprzyzwoite *). Nieprzyzwoitą jest również i wycieczka przeciwko

*) „Iskra" dotychczas jeden tylko raz wymieniła P. P. S. i to nawet nie szczędząc jej gorących komplementów, mianowicie w notatce o ucieczce tow. Piłsudzkiego.

„Przedświtowi“ w ostatnim (7-m) N. „Iskry“. W N. 12 r. ub., jak nasi czytelnicy pamiętają, „Przedświt“ zamieścił polemiczny artykuł p. Veto, który odrzuciła „Krytyka“ krakowska. Wobec zdań, mieszczących się w tym artykule — zdań, na które redakcya żadną miarą nie mogła się zgodzić, w dopisku redakcyjnym zostało zaznaczone, że całą odpowiedzialność za ten artykuł ponosi wyłącznie p. Veto i że artykuł zostaje zamieszczony wyłącznie w tym celu, ażeby dać możność p. Vecie odpowiedzenia przeciwnikowi. Zaznaczono również, że p. Veto przestał być współpracownikiem „Przedświtu“ od czasu wcielenia Z. Z. S. P. do P. P. S. Otóż „Iskra“ nie miała nic pilniejszego nad przypomnienie sobie w sierpniu r. b. że w grudniu roku ubiegłego został w „Przedświcie“ wydrukowany artykuł p. Veto, zawierający między innymi ustęp o braku sił literackich w socyalistycznym obozie rosyjskim. Wyśmiała więc ten ustęp, ale ani słówkiem nie wspomniała o treści notatki redakcyi „Przedświtu“. W ten sposób czytelnicy „Iskry“ będą przekonani, że z powiedzeniem p. Veto solidaryzuje, się jeśli nie P. P. S. to w każdym razie redakcya „Przedświtu“, a stąd wyniknie i tak już bardzo daleko posunięte zamieszanie pojęć w stosunku do ruchu polskiego. Nie zdawanie zaś sobie sprawy z rzeczywistego charakteru naszego ruchu i jego objawów poszczególnych przynosi szkodę nie komu innemu, jak właśnie towarzyszom rosyjskim.

W ostatnim numerze „Rab. Dieła“ — organu Związku socyalnych demokratów rosyjskich — spotykamy poważny artykuł tow. Martynowa p. t. „Kwestye na czasie“. Wspominam o tym artykule jedynie z tego powodu, ażeby podnieść parę charakterystycznych szczegółów, pochodzących z ignorowania samodzielności naszego ruchu. Autor poczyna od skonstatowania faktu, „że w miarę rozszerzania się naszego (t. j. rosyjskiego) ruchu robotniczego w nim coraz mocniej i mocniej poczyna się objawiać prąd polityczny. O tem świadczy charakter socyalnodemokratycznej literatury w ciągu ostatnich 3-ch lat, manifest S. D. P. Rosyi, broszury w rodzaju „Zadania socyalnych demokratów rosyjskich“, odezwy jekaterynosławskiego komitetu, pismo „Jużnyj Raboczyj“, najnowsze wydawnictwa „Biblioteki Robotniczej“ itd. O tem świadczą coraz częstsze zwracania się do rządu robotników, z żądaniem praw fabrycznych, coraz częściej powtarzające się demonstracye i starcia z władzami, zwłaszcza w kraju Zachodnim (ma oznaczać Litwę) i w Polsce...“ Autor ani na chwilkę nie zastanowił się nad tem, że jego stanowisko „ogólnorosyjskie“ każe mu gwałtem wtłaczać polski ruch robotniczy, posiadający całkiem inny charakter i zupełnie odrębną historyę w ramki „naszewo dwiżenja“, a więc popełniać niedorzeczność oczywistą. Polskie bowiem demonstracye akurat tak samo dowodzą wzmagania się prądu politycznego w ruchu rosyjskim, jak i walka socyalistów austryackich o reformę wyborczą. W innem miejscu autor artykułu, charakteryzując *rosyjską* literaturę agitacyjną opiera tę charakterystykę między innem i na właściwościach broszury „O czem każdy robotnik powinien wiedzieć i pamiętać“, nie wiedząc, czy też nie pamiętając tego, że jest to... przekład *polskiej* broszury „Sprawa Robotnicza“.

„Związek socyalnych demokratów rosyjskich“ puścił w świat niezbyt dawno ciekawą broszurę, zawierającą sprawozdanie o rosyjskim ruchu socyalnodemokratycznym na ostatni kongres paryski oraz „historyę żydowskiego ruchu robotniczego w Rosyi (?) i Polsce“. „Sprawozdanie“ dotyczy ruchu czystorosyjskiego w sześciu okręgach Rosyi : w okręgu petersbuskim, w przemysłowym okręgu Rosyi centralnej, w północno- i południowo-uralskim, w kijowskim i południowo-rosyjskim (Noworosya). Na wstępie spotykamy krótki pogląd na rozwój historyczny rosyjskiego ruchu robotniczego i jego charakter obecny. W końcu znajdujemy szczegółowe dane o pojedyńczych organizacyach socyalnodemokratycznych, reprezentujących rosyjski ruch robotniczy. W roku 1895-ym powstał *petersburski* „Związek walki o oswobodzenie klasy robotniczej“, ale już

w grudniu 1895 r. i w styczniu 1896 organizacya ta została bardzo osłabiona wskutek masowych aresztowań. W ciągu 1896 r. „Związek“ znowu odzyskuje siły i rozwija energiczną czynność podczas słynnych strejków w Petersburgu. Wówczas wpada w ręce żandarmów drukarnia partyjna. Największy rozwój „Związku“ przypada na zimę 1896—97 r. Pogrom 1897 bardzo osłabił „Związek“ i oto, w jesieni tego roku, powstaje nowa organizacya — „Myśli Robotniczej“, która uzyskała w Petersburgu wpływ przeważający. Jednocześnie z organizacyą „M Rob.“ powstaje „Sztandar Robotniczy“, reprezentujący dążności przeciwlekłe kierunkowi „M. Rob.“ (czystoekonomicznemu). W *Moskwie* socyalni demokraci zorganizowali się prawie jednocześnie z petersburskimi, w zimie 1894—95 r. W *Iwanowo-Woznesieńsku* „Związek robotniczy“ został zorganizowany w r. 1895-ym. W tym samym roku została usystematyzowana działalność agitacyjna i w Kijowie. W lipcu 1897 r. poszczególne grupy socyalnodemokratyczne zlały się w „Związek walki o oswobodzenie klasy robotniczej“. W *Jekaterynosławiu* taki „Związek“ powstał w r. 1897-ym; w tym samym roku powstaje „Południoworosyjski związek robotniczy“ w Mikołajowie; w Charkowie, Odesie i na Urale ruch i organizacye są jeszcze świeższej daty. „Sprawozdanie“, ułożone przez redakcyę pisma „Raboczeje Dieło“, może być dobrem źródłem informacyjnem w sprawach, dotyczących socyalnodemokratycznego odłamu rosyjskiego obozu socyalistycznego, a zwłaszcza tych organizacyi, które należą do Soc. Dem. Partyi Rosyi.

Drugiej części broszury, wydanej przez „Związek Socyalnych demokratów rosyjskich“ nie podobna uważać za źródło, na którem możnaby polegać bez zastrzeżeń. Tendencya wydymania „Bundu“ do rozmiarów niesłychanej potęgi wywiera z każdego niemal wiersza tej oryginalnej „historyi“. Sprawa początków agitacyi wśród proletaryatu żydowskiego w Warszawie została przedstawiona zupełnie fałszywie. Dotyczy to również w pewnej mierze i Białegostoku. Np. „historya“ zataja przed swoimi czytelnikami ten, dość, zdaje się, charakterystyczny fakt, że podczas wielkiego strejku w Białymstoku w r. 1898 żargonowe odezwy była wydawane *jedynie* przez P. P. S.

Niedawno ukazał się drugi zeszyt historycznorewolucyjnego czasopism „Byłoje“, wydawanego przez tow. Burcewa w Londynie. Zeszyt ten, tak samo jak i poprzedni, zawiera bardzo dużo materyału do charakterystyki działalności „Narodnej woli“. Znajdujemy tu pierwszą odezwę komitetu wykonawczego tej partyi, różne wyjątki z najrzadszych wydawnictw narodowolców, między innymi i z pisma, wydawanego przez „Narodną wolę“ dla robotników. Wyjątki te są zaopatrzone w wyczerpujące komentarze tow. Burcewa. Dalej idą sprawozdania z procesów politycznych, pracowicie ułożone na podstawie materyałów w prasie rosyjskiej i zagranicznej, testamenty męczenników sprawy rewolucyi w Rosyi, opis stracenia Suchanowa i parę dokumentów z najświeższej doby, odnoszących się do zamachu Karpowicza. Na końcu znajduje się zapowiedź wznowienia pisma „Narodowolec“, wydawanego w r. 1897 przez tow. Burcewa.

B. P—in.



Zjazd socyalnej demokracyi niemieckiej w Lubece

Różne sprawy, które niemieccy socyaliści omawiali na swoim tegorocznym zjeździe, bynajmniej nie przedstawiają ideowej jedności. Zjazd stanowił raczej przypadkowe zbiorowisko dla bardzo różnorodnych dyskusyi, które w ciągu ostatnich miesięcy stały się aktualnemi. To też poszukiwanie „przewodniej myśli“ zjazdu do niczegoby nas nie doprowadziło; daleko bliżej dotrzemy do samego jądra rzeczy, jeżeli każdą z różnych spraw, któremi się zjazd zajmował, rozpatrywać będziemy z osobna.

I

Sprawa P. P. S. w zaborze pruskim

Z punktu widzenia przeciętnego delegata socyalistycznych robotników niemieckich, sprawa P. P. S. w zaborze pruskim wydawała się i musiała się wydawać nader maluczką, niemal mikroskopijną. Albowiem cóż egzystuje w polskich dzielnicach, coby za objaw życiowy ruchu socyalistycznego poczytywać można? Robotników, należących do związków zawodowych — zaledwie kilka tysięcy; gazeta zawodowa — jedna jedyna, wychodząca w szczuplutkim formacie dwa razy na miesiąc, a służąca wszystkim zawodom wspólnie; stowarzyszeń wyborczych — brak zupełny; gazeta partyjna — jedna jedyna, wychodząca raz na tydzień w formacie bardzo skromnym, a licząca niespełna tysiąc sześćset abonentów; wyborców głosujących na kandydatów socyalistycznych — około 30.000 we wszystkich okręgach razem; posłów socyalistycznych do rady państwa — żadnego. I jakżeż tu żądać, aby delegatom robotników niemieckich ten ruch imponował? Wszak, gdyby ruch socyalistyczny był w polskich dzielnicach rozwinięty tak, jak nim jest przeciętnie w dzielnicach niemieckich, toby związki zawodowe musiały w zaborze pruskim liczyć około 30.000 członków, a mieć na swoje usługi przynajmniej trzy polskie tygodniki; stowarzyszenia wyborcze musiałyby liczyć około dziesięciu tysięcy członków; musiałaby w zaborze pruskim wychodzić przynajmniej jedna partyjna gazeta codzienna, licząca przeszło dziesięć tysięcy abonentów; wyborców, głosujących na kandydatów socyalistycznych, musiałoby być przynajmniej 120.000, a posłów socyalistycznych przynajmniej trzech. Gdyby socyaliści wirtemberscy, hanowerscy lub sascy osiągnęli byli również skromne rezultaty, co polscy socyaliści w zaborze pruskim, a jednak rościliby jakiebądź pretensye do zjazdu lub zarządu partyi — jednogłośnieby im zjazd odpowiedział: „najprzód zróbcie ład we własnym domu!“. A chyba nie możemy żądać od robotników niemieckich i ich przedstawicieli, aby to, co polskie, a więc dla nich obce, wyżej cenili lub pobłażliwszą miarką mierzyli niż to, co swojskie.

Na domiar, nie trza zapominać, że od r. 1891 aż do kwietnia 1901 polski ruch socyalistyczny w zaborze pruskim był ruchem *subwencyonowanym* przez socyalistów niemieckich. Subwencya ta, zapewniająca byt „Gazety Robotniczej“, pochodziła z kieszeni niemieckich proletaryuszy; wszak aby zbierać fundusze, za pomocą których wojuje niemiecka socyalna demokracya, tysiące kolporterów i mężów zaufania krzątają się cały rok, biegają po schodach, po poddaszach i suterenach, chodzą po karczmach, napominając, nawołując, aby otrzymać tu dziesięć fenigów, tam znowu pięć fenigów, narażając się przytem dość często

na konflikty z policyą i sądem. Przy administracyi funduszów, w taki sposób gromadzonych, skąpstwo staje się cnotą. A przyznać trzeba, że owoce, które przynosiła owa subwencya i w polskich ziemiach, i w Niemczech, były bardzo a bardzo szczupłe. Smutne zjawisko, że nieuświadomieni robotnicy polscy, tłumnie wędrujący do Niemiec, obniżają płacę i podkopują organizacye zawodowe, bynajmniej nie znikło z widowni.

Otóż wedle zwyczaju, na corocznym zjeździe socyalnej demokracyi niemieckiej członkowie zarządu partyi zobowiązani są do złożenia ustnego sprawozdania z czynności swojej w roku ubiegłym. Ponieważ zatem już *po* przeszłorocznym zjeździe zaszły ważne zmiany w stosunkach niemieckich socyalistów do P. P. S., Pfannkuch, referując o agitacyi prowadzonej przez zarząd, *musiał* wspomnieć o tych zmianach. Prawda, że mógł to uczynić w sposób mniej nietaktowny. Ale kipiała w nim złość o zmarnowaną subwencyę, no i wybuchła. Wybuchł przy tej sposobności i najzwyczajniejszy szowinizm robotnika pruskiego, mimo wszelkiej socyalistycznej rutyny i „międzynarodowej" frazeologii *pod tym względem* jeszcze zgoła nieuświadomionego. Przeciętny niesocyalistyczny prusak patrzy na polaka tak, jak przeciętny niesocyalistyczny polak patrzy na rusina: z nieufnością i z pogardą. Tow. Pfannkuch pod tym względem bardzo mało się różni od przeciętnego pruskiego filistra.

Przeciw Pfannkuchowi wystąpił tow. Jerzy Ledebour, poseł do rady państwa, wybrany w szóstym okręgu berlińskim przez dawnych wyborców Liebknechta. Zaznaczając najsamprzód, że, zarówno jak ogromna większość delegatów, i on sam nie umie po polsku i nie jest bynajmniej specyalnym znawcą spraw polskich, mimo tego stanowczo zwalczał Pfannkucha na podstawie ogólnych zasad socyalizmu. Słusznie zauważył, że sposób, jak najprzód zarząd w sprawozdaniu drukowanem, a teraz Pfannkuch w swej przemowie wyrazili się o polskich socyalistach, jest wysoce nietaktowny i sprzeciwia się zasadom socyalnej demokracyi. Na dowód, że nie brak polakom zdolności do samodzielnej politycznej pracy, wskazał na polskich socyalistów w Austryi, którzy o własnych siłach zdobyli sobie stanowisko, które im zjednało szacunek całego socyalizmu międzynarodowego. A zatem i polski ruch socyalistyczny w zaborze pruskim, mimo jego niedojrzałości, trzeba traktować po bratersku. Tow. Ledebour przedłożył następującą rezolucyę:

„Zjazd spodziewa się, że skuteczne współdziałanie partyi z organizacyą polskich socyalistów w państwie niemieckiem wkrótce przywróconem zostanie".

Drugim oponentem Pfannkucha był nasz towarzysz Józef Biniszkiewicz, członek zarządu P. P. S. w zaborze pruskim. Przemówił dzielnie, sympatycznie i bez zbytecznej zjadliwości; to też zrobił korzystne wrażenie.

Natomiast tow. Hengsbach z Kolonii, ten sam, który niedawno kandydował do rady państwa w okręgu Duisburg-Mülheim-Ruhrort, rozczarował naszych towarzyszy przez oświadczenie, że uważa odrębną organizacyę polską za niepotrzebną. Rozumie się, że takie wotum człowieka, który zna tylko polaków na emigracyi, albynajmniej nie zna Polski, nie może mieć wielkiego znaczenia.

Gorzej, o wiele gorzej spisał się rzekomy polak Gogowsky, nieumiejący po polsku i wstydzący się swojego polskiego pochodzenia, a jednak pozujący przed niemcami na znawcę spraw polskich. Człowiek ten obawia się, że zgoda między socyalistami niemieckimi a polskimi pozbawił go jego obecnej płatnej posady jako sekretarza robotniczego w Poznaniu. To też robi, co może, aby spór zaostrzyć i jątrzyć.

Jednakże pseudo-polak Gogowsky był łagodnym aniołkiem w porównaniu z Różą Luksemburg — polką-renegatką. Śmiertelnie podrażniona ambicya do szczętu pozbawiła ją uczciwości i sumienia, o ile chodzi o sprawę polską. Róża

Luksemburg już dawno nie pragnie zgody; ona pragnie zemsty, a dąży do zemsty kłamstwem.

Mimo swego wściekłego gniewu, Róża Luksemburg zdobyła się na tyle zimnej chytrości, że nie stawiła żadnego pozytywnego wniosku, potępiającego P. P. S. Wiedziała dobrze, że przeważnem uczuciem większości delegatów wobec „Polendebatte“ była *obojętność*, połączona z niecierpliwą żądzą skończenia już raz z tą nudną sprawą i przejścia do innych punktów porządku dziennego, ciekawszych dla nich i ważniejszych. To też wniosek Róży poprostu brzmiał: „Zjazd nad rezolucyą Ledeboura przechodzi do porządku dziennego“.

Istotnie, wystąpienie Róży Luksemburg rozstrzygło los rezolucyi tow. Ledeboura. Wszak „polka“, polska socyalistka sama zapewniała delegatów, że Pfannkuch jeszcze pochlebiał owym separatystom polskim, bo w rzeczywistości nie chodziło wcale o spór między socyalistami niemieckimi i polskimi, tylko o spór między polskimi socyalnymi demokratami (takimi jak Róża), a polskimi „nacyonalistami!“. A na domiar ta „polka“ zapewniała delegatów, że tych nacyonalistów jest tak mało, że wszyscy razem mogą się zmieścić na jednej kanapie! Polska socyalistka to mówiła — więc pocóż sobie nad tem całem głupstwem głowę suszyć? Wszak mamy tysiąc razy ważniejsze rzeczy do czynienia! Tak myśleli delegaci. Nic nie pomogły ponowne przemowy Biniszkiewicza i Ledeboura, nic też na razie nie pomogły zabiegi austryackich towarzyszy Pernerstorfer'a i dra Wiktora Adler'a, obecnych na zjeździe jako goście i działających na naszą korzyść. Zjazd przyjął wniosek Róży i przeszedł do dyskusyi nad prasą partyjną.

Nazajutrz zaś członkowie zarządu partyi spostrzegli się, że popełniono błąd. Troszkę im także dopomogli do opamiętania się nasi austryaccy przyjaciele. Otóż znalazła się sposobność do częściowej naprawy błędu. Imieniem komisyi sprawdzającej mandaty referował tow. Böhle ze Strassburga. Oświadczył, że komisya tow. Biniszkiewicza za delegata, reprezentującego część składową niemieckiej socyalnej demokracyi, uznać nie może; co się zaś tyczy jego życzenia, aby być obecnym na zjeździe jako gość, to o tem rozstrzyga nie zjazd, ale zarząd. Otóż po załatwieniu uchwał komisyi przez zjazd, zarząd i co do kwestyi dopuszczenia tow. B., jako gościa, zrzekł się swojej kompetencyi na rzecz zjazdu. Rozpoczęła się dyskusya, w ciągu której Biniszkiewicz dwa razy otrzymał głos. Wtedy Pfannkuch oświadczył się za gościnnem przyjęciem Biniszkiewicza. Zjazd ogromną większością uchwalił przyjęcie; prezes zjazdu, Paweł Singer, przywitał tow. Biniszkiewicza jako miłego gościa, a w oficyalnym spisie delegatów figuruje tow. Biniszkiewicz jako gość polski obok gości z Austryi, Holandyi, Francyi, Anglii i Szwecyi.

* * *

Epizodem dyskusyi o sprawie polskiej była dyskusya o *sprawie litewskiej*. Na dowód, jak niesolidarnie i złośliwie polscy socyaliści postępują wobec towarzyszy niemieckich, Róża Luksemburg przytoczyła (naturalnie przekręcając, jak zawsze) artykuł „Gazety Robotniczej“ o sprawozdaniu zarządu socyalnej demokracyi niemieckiej. Według twierdzenia Róży, był to „artykuł o najnowszych klęskach niemieckiej socyalnej demokracyi“. Z oburzeniem i szyderstwem opowiadała, że „Gaz. Rob.“ w tem, że w okręgach francuskich i litewskich stawiano kandydatów niemców, widzi „wykroczenie przeciw świętej zasadzie międzynarodowości“ (słowa Róży, nie „Gazety Robotniczej“). Otóż w dyskusyi tow. Otton Braun z Królewca (właśnie ów niemiec, który był kandydatem socyalistycznym w Kłajpedzie) z wielką energią wojował przeciw myśli, jakoby w Prusiech Wschodnich trzeba było osobnych organizacyi lub osobnych kandydatów dla litwinów, czy polaków, czy mazurów. Konserwatyści takie głupstwa robią, prawił

Otton Braun, konserwatyści w Kłajpedzie postawili kandydata litwina, aby się ratować przed klęską; ale przecież my, socyaliści, nie będziemy ich naśladować! Zupełnie zwyczajnym sposobem, *jako socyaliści niemieccy*, osiągnęliśmy wszystkie nasze sukcesy, i tak będziemy i nadal robić! Już raz, opowiadał dalej Braun, w Prusiech Wschodnich spróbowano założyć odrębną litewską partyę robotniczą; próba ta spełzła na niczem, dzięki karności naszych towarzyszy!

Oto „międzynarodowość", której Róża Luksemburg broni przeciwko „szowinistycznej" P. P. S.

Ironia losu chciała, że nazajutrz ten sam Otton Braun, ze zlecenia swoich wyborców, uzasadniać musiał wniosek: aby wydawać litewskie tłómaczenie wschodniopruskiej gazety partyjnej. Zapewniał wprawdzie, że bynajmniej nie zamierza „sztucznie forytować litewszczyzny", ale jednocześnie przyznać musiał, że w okręgach litewskich bez agitacyi po litewsku prowadzonej nic wskórać nie można. Wniosek został „przekazany zarządowi celem uwzględnienia".

II.

Sprawa Bernsteina

Życie partyi jest zbiorowym wynikiem życia pojedyńczych ludzi, którzy dla niej walczą. Partya, dopiero co założona przez grono ludzi młodych, krewkich, pełnych świeżego zapału i entuzyazmu, sama jest młodą. Natomiast, kiedy w dwadzieścia kilka, trzydzieści, trzydzieści kilka lat po założeniu partyi prawie wszyscy jej założyciele, kierownicy i organizotorowie się zestarzeli, wtenczas i sama partya widocznie starzeje się. Przestaje rozwijać swoje teorye, przestaje zdobywać nowe obszary myśli. Miejsce nowotwórczej pracy umysłowej zajmuje u niej coraz więcej ślepe trzymanie się ideałów młodości z czasów, kiedy świat był najpiękniejszym. Przy takim stanie umysłowym, partya coraz bardziej traci zdolność *przystosowywania się do nowych warunków*. Do nowych niebezpieczeństw, do nowych kierunków rozwoju przykłada coraz bezmyślniej swoją przestarzałą modłę, a tem samem staje się coraz bardziej istotą przedpotopową, niezdolną do walki o byt w teraźniejszości. Otóż najszczęśliwsze partye są te, które, nim jeszcze zaczęły się starzeć, dopinają swego celu, a więc stają się niepotrzebne. W przeciwnym razie zaś starzejącą się partyę historya stawia przed tę alternatywę: *albo zgon albo odmłodzenie*! Odmłodzenie to może być gwałtownem, bolesnem przesileniem, może, szalejąc jak orkan, niejedną niegdyś dzielną jednostkę niemiłosiernie wytrącić z ruchu; ale jest zbawiennem, bo przywraca równowagę między siłami partyi a jej historycznem zadaniem.

Otóż proces odmłodzenia socyalnej demokracyi niemieckiej rozpoczął się stosunkowo bardzo wcześnie. Wszak od pojawienia się „Manifestu komunistycznego", którego główne myśli powtarza obecny, uchwalony w r. 1891 program erfurcki, upłynęło dopiero pięćdziesiąt trzy lata. W tym czasie wprawdzie powierzchnia Europy pokryła się siecią kolei parowych i telegrafów, wynaleziono telefony, lampy elektryczne i tramwaje; stłumiono dwa powstania polskie; Włochy po raz pierwszy od czasu wędrówki ludów stały się jednolitem i samodzielnem państwem; prawno-państwowa łączność Austryi z Niemcami została zerwaną; Holsztynię i Schlezwik wcielono do Prus; królestwo Hanowerskie, wielkie księstwo Hessen-Kassel, księstwa Hessen-Nassau i Hessen-Homburg i rzeczpospolita frankfurcka znikły z oblicza ziemi; Alzacyę i część Lotaryngii zabrano; cesarstwo niemieckie, zdruzgotane przez Napoleona Wielkiego, zmartwychwstało — no, ale zresztą nie wiele się zmieniło.

Mówiąc bez ironii: w chwili, kiedy Bernstein teoretycznie sformułował wzmagające się dążenia do rewizyi programu i taktyki, socyalna demokracya

niemiecka dopiero co *zaczynała* się starzeć. Wszak w tym samym czasie ruch zawodowy, kierowany przez socyalistów, doszedł do niebywałego rozwoju; wszak właśnie tymi czasy w Hamburgu socyaliści stworzyli ośrodek ruchu współdzielczego, jakiego dawniej Niemcy nie znały. A właśnie w ciągu ostatnich dwóch lat socyaliści przeróżnych państw i prowincyi niemieckich zaczęli uchwalać osobne *programy dla polityki gminnej*, zawierające coraz więcej żądań specyalnie nowoczesnych, w których się odzwierciadla najnowszy rozwój wielkiego przemysłu i wielkich miast. Równocześnie w licznych miastach powstały i wciąż jeszcze powstają *sekretaryaty robotnicze*, których dawniej nie znano. W niektórych miastach (przedewszystkiem w Berlinie) powstały *gmachy robotnicze* (Gewerkschaftshäuser), służące za miejscowe ośrodki ruchu politycznego i zawodowego, a będące *własnością organizacyi robotniczych*. Z drugiej strony Vollmar w praktyce, a David w teoryi zaczęli budować podstawy *socyalizmu agrarnego*. Bernstein tym wszystkim nowym prądom utorował drogę, ułatwił im dalszy rozwój, ale nie stworzył ich; początki tego wszystkiego istniały już przed nim.

Jeżeli więc w partyi tkwiło jeszcze dosyć młodości i siły żywotnej do dalszych przeobrażeń, to czemu rewizya zasad partyjnych, rozpoczęta przez Bernsteina, spotkała się z tak zaciętym oporem?

Bo Bernstein sam nie jest dosyć młodym! Właśnie dlatego, że Bernstein tylko z żalem, po długiej wewnętrznej walce, wahającym się krokiem odwraca się od przestarzałych doktryn, w które przestał wierzyć, ale dla których wciąż jeszcze czuje przywiązanie — właśnie dlatego młodsze pokolenie socyalistów niemieckich nie znajduje u niego tego, czego szuka: nowej teoryi socyalistycznej, wygłoszonej z tym samym entuzyazmem, z tą samą płomienną otuchą, z tem samem zapalczywem rwaniem się do walki, z tą samą hipnotyzującą siłą przekonania, z którą niegdyś była wygłaszana teorya dziś uważana przez niego za przestarzałą. Myśli, któreby mogły służyć jako części składowe nowej, zwycięskiej teoryi kolektywizmu, prawie wszystkie znajdują się u Bernsteina; ale znajdują się one u niego w formie nierozwiniętej, niemal zamaskowanej. Niema chyba bardziej rewolucyjnej idei nad tę przewodnią myśl Bernsteina: „ustrój kapitalistyczny sam przez się nie runie = więc *my* go musimy podkopywać a w końcu zburzyć!". Ale Bernstein tej swojej przewodniej myśli nigdzie nie wypowiedział w formie dosadnej, porywającej serca; dopiero młodziutki austryacki bernsteinista Fryderyk Hertz „wycedził" to hasło z książki swojego przezornego mistrza.

Tym sposobem zwolennicy Bernsteina bynajmniej nie stanowią zwartej falangi. Rozwiązał on języki i ręce rozmaitym ludziom, którzy *pragną robić inaczej*, niż dawniej robiono — ale nie sformułował syntezy z ich pojedyńczych, nieraz sprzecznych między sobą herezyi, nie zjednoczył ich pod wspólną chorągwią, nie wskazał im wspólnej drogi. Gdyby dzisiaj „bernsteiniści" niemieccy mieli odbyć swój osobny zjazd (co zresztą nie jest ani prawdopodobnem, ani pożądanem), toby się okazały między nimi również wybitne antagonizmy, jak na zjeździe partyi całkowitej. Doszłoby tam do namiętnych zatargów między kierownikami ruchu zawodowego, jak Legien, Hué, von Elm, Bömelburg i inni, a takim np. Auer'em, czynnym prawie wyłącznie na polu politycznem, a patrzącym z nieufnością na wzrastającą potęgę związków zawodowych; między samym Bernstein'em, radykalnym wolnohandlowcem, a Calwer'em, którego prawie już można nazwać umiarkowanym protekcyonistą: między chłopofilem David'em, a chłopożercą Schipplem; między niemcami „z kresów", przywykłymi do lekceważenia żądań ujarzmionych narodów, a szczerymi, świadomymi międzynarodowcami jak np. Vollmar.

Tymczasem od powrotu Bernsteina do Niemiec prąd skierowany *przeciwko* Bernstein'owi, rósł jak nawałnica. Prawda, że wszędzie tam, gdzie wystąpił osobiście na zgromadzeniach, zrobił korzystne wrażenie; ale występował nie do-

być często, bo zbyt dużo siedział w domu i pisał. A pisał w sposób zbyt europejski — jak na Prusy. Prawda, że stanowczo zwalczał wszelkich przeciwników partyi, nietylko skrajnych konserwatystów, ale i ludzi stosunkowo postępowych, takich jak „narodowo-społeczny“ ksiądz Naumann lub nawpół marksista prof. Sombart. Ale w oczach prawowiernych marksistów pruskich Bernstein popełnia śmiertelny grzech przez to, że przeciwników osobiście uczciwych *zwalcza*, ale nie *bezcześci*. O Naumannie dajmy na to Bernstein pisze mniej więcej tak: „Naumann grubo się myli, chcąc połączyć reformy społeczne korzystne dla robotników z zaborczą polityką zewnętrzną i osobistymi rządami cesarza; jestto sprzeczność, której nic złagodzić nie może; socyalizm będzie demokratycznym, albo go nie będzie wcale“. Na to wszystko antybernsteiniści się zgadzają, ale to ich nie zadawalnia; tak się polemizuje w Anglii, a nie w Berlinie. Z niecierpliwością szukają oni w artykule Bernstein'a zdania: „Naumann jest świnią“, a ponieważ takiego zdania niema, to cały artykuł dyabła wart. Bo i któż widział głaskać burżujów po brodzie, zamiast ich kopać w brzuch! Albo o Sombarcie Bernstein mniej więcej tak pisze: „Sombart jest na fałszywej drodze, witając związki zawodowe jako nową potęgę, która ma podkopać i skruszyć socyalną demokracyę. Przeciwnie, związki zawodowe są i będą organami walki klas, a tem samem wciąż świeżych sił dostarczają partyi socyalistycznej; oba te ruchy są sprzymierzone i dążą do tych samych celów. Nadto Sombart, krytykując agitatorów socyalistycznych, wpada w ton wysoce niewłaściwy“. Tymczasem Róża Luksemburg krzyczy na całe gardło: „Sombart jest karyerowiczem, Sombart jest burżujem, Sombart jest chytrym łotrem, Sombart jest idyotą!“, a są liczni towarzysze, którym taki sposób polemiki o wiele lepiej do smaku przypada.

Oprócz przyzwoitości wobec uczciwych przeciwników, Bernstein w Anglii nabrał jeszcze i innych zwyczajów, zgubnych dla niego na pruskiej ziemi, jak np. objektywnego traktowania teoryi własnej partyi. Gdyby w Anglii jakiś socyalista wygłosił mniej więcej taką teoryę: „Socyalizm może i powinien korzystać z nauki, może i powinien czerpać wciąż świeże siły z poszukiwań naukowych; ale socyalistyczna teorya sama w sobie jest teoryą *polityczną*, zawierającą, *subjektywne* żywioły *woli i dążeń*, a nie ściśle objektywną teoryę naukową“ toby chyba nikt (oprócz Belfort Bax'a i spółki) nie zwrócił uwagi na to orzeczenie, słuszne, ale rozumiejące się samo przez się. Otóż powyższe zdanie, to właśnie główna treść owego sławnego odczytu Bernstein'a w studenckiem „Stowarzyszeniu dla nauk społecznych“ w Berlinie. Tymczasem w Prusiech poziom umysłowej kultury jest jeszcze o tyle niższy niż w Anglii, że i burżuje i socyaliści jeszcze zupełnie na seryo wierzą, że bezpośrednim wynikiem objektywnych poszukiwań naukowych może być program tej lub owej partyi politycznej — opinia również barbarzyńska, jak mniemanie, że bezpośrednim wynikiem naukowych poszukiwań doktora Stanisława może być oświadczenie się jego o rękę Kasi lub Marysi. To też różne burżuazyjne gazety pruskie natychmiast zaczęły śpiewać hymny radosne: „chwała Bernsteinowi! zdruzgotał łeb smokowi socyalistycznemu, bo powiedział, że socyalizm nie jest nauką!“. A liczny zastęp socyalistów pruskich (oraz saskich i turyngskich) grobowym głosem jął powtarzać: „biada Bernsteinowi! on zadał śmiertelny cios ruchowi robotniczemu, bo powiedział, że socyalizm nie jest nauką!“. Słusznie Bernstein w Lubece scharakteryzował tę całą naiwną komedyę, mówiąc, że gdyby on dzisiaj publicznie wygłosił, że dwa razy dwa jest cztery, toby nazajutrz i burżuje i socyaliści jednomyślnie oświadczyli: „Bernstein zdruzgotał socyalizm, bo powiedział, że dwa razy dwa jest cztery!“.

Otóż w Lubece między drukowanymi wnioskami, przedłożonymi zjazdowi, był cały szereg wniosków, żądających mniej lub więcej ostrej nagany dla Bernsteina. Jednakże z tych wszystkich wniosków tylko jeden miał widok przejścia — wniosek Bebla, stosunkowo najłagodniejszy. Wniosek ten uznaje wolność

krytyki jako niezbędny warunek bytu dla partyi, ale gani Bernsteina za to, że „w nawskroś *jednostronny* sposób“ ostatnimi czasy krytykuje tylko własną partyę, zaniedbując przytem krytyki burżuazyjnego społeczeństwa i jego przedstawicieli, przez co Bernstein stanął w pozycyi dwuznacznej „Spodziewając się“, tak się kończy wniosek Bebla, „że tow. Bernstein sam uzna tę prawdę i będzie się do niej stosował, zjazd nad wnioskami .... (tutaj Bebel wylicza wszystkie wnioski antybernsteinowskie, ostrzejsze, niż jego własny) przechodzi do porządku dziennego“.

Przeciwko wnioskowi Bebla stanął wniosek Wolfganga Heinego, przyjazny dla Bernsteina. Nad tym wnioskiem najpierw głosowano. Przy imiennem głosowaniu oświadczył się za nią 71 delegat; przeciwko niemu 263. A zatem stało się pewnikiem, że rezolucya Bebla przejdzie. Wobec tej sytuacyi większa część „bernsteinistów“ powzięła postanowienie głosowania za rezolucyą Bebla, aby tym sposobem złagodzić jej efekt. Tym sposobem rezolucya Bebla została przyjęta 303 głosami przeciwko 31.

Zachowanie się Bernsteina podczas całej tej dyskusyi było godne i męskie. On jeden wystrzegał się użytku broni zatrutej; on jeden, zakrzyczany jako „oportunista“, nie uciekał się do żadnych oportunistycznych sztuczek. Gdyby był się łasił przed większością, gdyby był okazał skruchę i prosił o przebaczenie — prawdopodobnie osiągnąłby wynik głosowania korzystniejszy dla siebie; niecugiętą swoją szczerością zraził sobie niejednego z wahających się delegatów.

Kiedy rezolucyę Bebla przyjęto, Bernstein złożył następujące oświadczenie:

„Towarzysze! Już w moim liście do kongresu w Hanowerze zaznaczyłem, że żadne wotum jakiegobądź zgromadzenia nie zmieni moich przekonań. W tym samym liście jednak zaznaczyłem, że takie wotum, wydane przez zjazd partyjny, nie może mi być obojętnem. Otóż i dzisiaj te same zasady mną kierują. Jestem przekonany, że rezolucya wasza, objektywnie wziąwszy, czyni mi krzywdę. Ale ponieważ większość zjazdu rezolucyę tę uchwaliła, a tow. Bebel oświadczył, że rezolucya jego *nie* ma znaczenia wotum nieufności dla mnie, wobec tego oświadczam, że uchwałę tę będę tak szanował i uznawał, jak to się należy uchwale kongresu“.

W dwa dni później, dyskutując nad zasadniczo ważną kwestyą stosunku partyi do związków zawodowych — zjazd przyjął wniosek Bernsteina.

(Dokończenie w N-rze 12-tym)

Dr. Władysław Gumplowicz

Spadkobiercy Czartoryszczyzny *)

Namiętnie zwalczający socyalistów polskich — „Przegląd Wszechpolski“, w lipcowym zeszycie b. r. odchylił rąbek zasłony, pokrywającej jego zagadkowe dotąd dla wielu oblicze. Dotychczas „Przegląd Wszechpolski“ był albo nieszczery, albo niejasno wyrażający swe przekonania. Od zeszytu lipcowego zaszła jakaś zmiana, bo oto spotykamy tam szczery artykuł p. W. Tokarza i jasne wypowiedzenie się „Przeglądu Wszechpolskiego“ w sprawie powstania.

---

*) Nie zupełnie godząc się na niektóre z myśli, wypowiedzianych przez szan. autorkę, zwłaszcza na jej przesadną ocenę wrzekomych zasług N. D., zamieszczamy artykuł niniejszy jako przyczynek do charakterystyki szerzonej przez „Przegląd Wszechpolski“ demoralisacyi społecznej. *(Red.)*

P. Tokarz twierdzi — zupełnie słusznie zresztą — iż program „Prz. Wsz.“ w niczem się nie różni od programu „Wiadomości Polskich“, wydawanych przez Czartoryskiego w latach 1856—1861. „Te same poglądy, ten sam sposób ujęcia, oświetlenia faktów, co w dzisiejszym „Prz. Wsz.“ — znajduje p. Tokarz w „Wiadomościach Polskich“ — czy to będzie mowa o polityce zagranicznej dziennikarstwa warszawskiego, czy środki walki z ugodą, czy sprawa rusińska lub żydowska, czy nasz stosunek do prądów rewolucyjnych w Rosyi, do reform, przeprowadzanych przez rząd rosyjski“. Za taką szczerość winniśmy czuć prawdziwą wdzięczność dla „Prz. Wsz.“ Jakie by to było oburzenie, gdyby ktoś z nas — socyalistów — powiedział, iż dzisiejsza demokracya narodowa to dawniejsza czartoryszczyzna! Pamiętam, jak przed laty kilku na zjeździe młodzieży polskiej w Zurychu oburzał się jeden z przywódców N. D. na prelegenta, który śmiał twierdzić, iż dzisiejsza P. P. S. to dalszy konsekwentny ciąg Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. A tymczasem prelegent nic innego nie powiedział jeno czystą prawdę. Bo jak prawdą jest, iż N. D. stanowi dalszy ciąg czartoryszczyzny i po części demokratycznego Zjednoczenia Lelewelowskiego, tak prawdą jest, iż P. P. S. jest spadkobierczynią haseł i dążeń T. D. P., z tą tylko różnicą, iż my nie zatrzymaliśmy się u mety, do której doszło T. D. P., lecz zrobiliśmy jeszcze krok naprzód. Czytając np. Manifest T. D. P., ileż tam znajdujemy pokrewnych myśli i dążeń. „Głęboko albowiem przekonani jesteśmy — czytamy w Manifeście T. D. P., wydanym w Paryżu w 1836 roku — iż początek towarzyski na przywłaszczeniach oparty, w którym jedni używają wszystkich korzyści do życia społecznego przywiązanych, drudzy same tylko ciężary życia tego znosić są przymuszeni, jest jedyną przyczyną nieszczęść ojczyzny naszej i ludzkości całej“. (str. 9).

W innem zaś miejscu czytamy: „Wszystko dla ludu przez lud: oto najogólniejsza zasada demokracyi, cel i formę zarazem obejmująca. Wszystko dla ludu, dla wszystkich, jest celem; wszystko przez lud, przez wszystkich, jest formą“ (str. 11). „Polska więc niepodległa i Polska demokratyczna oto cel stowarzyszenia naszego“ (str. 12). Nie przeceniało T. D. P. solidarności międzynarodowej ludów, ale też nie odrzucało jej. Takiem jest także stanowisko P. P. S. Dlatego też my, przekonani, iż podsycane dawniej nienawiści narodowe zupełnie zaginęły, wierzymy w szczere ludów spółdziałanie, na powszechnem braterstwie i wspólnej usamowolnienia potrzebie oparte.“ (Manifest T. D. P. str. 15).

Już choćby z przytoczonych ustępów Manifestu T. D. P. widzimy, iż T. D. P. było prawdziwie demokratyczną i jaknajbardziej, jak na swój czas, postępową partyą.

Jak P. P. S. nadzieję wyzwolenia Polski widzi tylko w ludzie polskim (tak proletaryacie miejskim, jak i we włościaństwie), tak samo T. D. P. tylko na własnych siłach narodu polskiego opierało przyszłe odbudowanie Polski. Inaczej myślał Czartoryski. Czartoryszczyzna zbawienie Polski widziała tylko w dyplomacyi, tak jak dziś poniekąd N. D. „Prz. Wsz.“ w lipcowym zeszycie pisze: „...że praca nasza (t. j. narodowych demokratów) — to nie jest przygotowanie nowego powstania, że powstanie byłoby niedorzecznością...“ A dalej: „Gdy stworzymy politykę ogólną polską, opartą na masach ludowych, kierowanych przez dobrą organizacyę, politykę, konsekwentnie działającą we wszystkich zaborach w jednym duchu, wtedy staniemy się poważną siłą w stosunkach międzynarodowych. Wtedy każdej chwili znajdziemy siły zewnętrzne, które w swych celach zechcą się z nami sprzymierzyć, wciągnąć nas w walkę na tym lub innym froncie. Wtedy, nie kierując się niedorzecznym programem powstańczym, który dąży niecierpliwie do wybuchu, chce go mieć za jakąkolwiek cenę, będziemy umieli doczekać odpowiedniej dla nas kombinacyi i sprzymierzyć się z kimś, kto nie tylko na nas zrobi interes, ale przy czyjej pomocy i my swoje cele osiągniemy“. A

więc nie liczyć na własne siły, dać pokój myśli o powstaniu — tej „niedorzeczności“, ale czekać „odpowiedniej dla nas kombinacyi“ sił zewnętrznych, które zechcą *„wciągnąć nas w walkę“* i robiąc „na nas interes“, zechcą i dla nas coś zrobić! Czyżto nie jest zwątpienie o własnych siłach, szukanie kogoś, z kimby można było zrobić niezły interes, słowem, czyż to nie jest ta nieszczęsna dyplomacya, na którą tak wiele liczył książe Adam Czartoryski i jego następcy?! Najczystszej wody czartoryszczyzna! Nie tak myślało T. D. P. „Niema bowiem siły, któraby dwudziestomilionowy naród, węzłem wspólnych swobód złączony, pokonać i ujarzmić zdołała“, głosi manifest T. D. P. A w organie T. D. P. „Demokracie polskim“ (w numerze z dnia 22 listopada 1848 r.) znajdujemy takie określenie różnicy między T. D. P. a czartoryszczyzną, różnicy, zachodzącej mniej więcej teraz między P. P. S. a N. D.: „Między pojęciami i zastosowaniem T-wa, a teoryą i praktyką szkoły szlacheckiej, ogromna zachodzi różnica. T-wo, mając za podstawę zasady równości, wolności, braterstwa; za punkt wyjścia ich urzeczywistnienie, obala fanatyzm, przesądy, nałogi; kruszy wszelkie przepisy i formy tak polityczne jak społeczne, stojące na zawadzie do wielkiej jedności narodowej. Duchem swoim ogarnia i łączy w jedno ogniwo ogół ludu polskiego, a jego odrodzenia, jego niepodległego bytu w wątpliwość nie podaje; *od obcej łaski, od przypadkowych okoliczności, zawisłym nie czyni; ale opiera go na niezwyciężonej domowej potędze, na własnych niewyczerpanych siłach“* *) W innem znowu miejscu („Demokrata Polski“ z dnia 12 lutego 1839 roku) czytamy: *„Naród gotujący się do walki o swój byt, o swoję całość, w sobie samym musi znaleźć żywioły, mieć ducha, mieć wolę, liczyć na siebie, i li tylko na siebie“.* Oto słowa prawdziwych rewolucyonistów, szczerych demokratów, a nie dyplomatów, prawiących o niedorzeczności powstania i zalecających cierpliwe wyczekiwanie aż nas ktoś obcy raczy *wciągnąć* w walkę, ktoś, co „nie tylko na nas zrobi interes, ale przy czyjej pomocy i my swoje cele osiągniemy“. W parze z dyplomacyą narodowych demokratów idzie propagowanie „zdrowego egoizmu narodowego“, który konsekwentnie prowadzi chyba do tego, aby np. w bohaterskiej walce burów z zaborczymi Anglikami, z ostatnimi raczej sympatyzować niż z Burami, bo z anglikami można będzie kiedyś *zrobić interes.* Jeżeli dobrze zrozumiałam ów „zdrowy egoizm narodowy“, jeśli ma on prowadzić do takich konsekwencyi, o jakich wyżej wspomniałam, to jest on, jak wszelki egoizm, brzydki, od którego każdy uczciwy rewolucyonista polski ze wstrętem odwrócić się winien. My — socyaliści takiemu zdrowemu egoizmowi narodowemu przeciwstawiamy międzynarodową solidarność proletaryatu, a takim grubym materyalizmem, jak wyżej wspomniany egoizm narodowy, brzydzimy się poprostu.

N. D., jako partya liczby — jak ją arcytrafnie określił tow. Mazur —, starając się zjednywać sobie jaknajszersze koła zwolenników, dba wielce o sympatye kleru, aby przezeń na lud mieć wpływ. W niejednokrotnie cytowanym już lipcowym zeszycie „Prz. Wsz.“ p. Jastrzębiec tak pisze: „W programie stronnictwa demokratyczno-narodowego powiedzieliśmy, że bronić będziemy godności i *interesów kościoła katolickiego* w Polsce nawet wbrew hierarchii duchownej.“ Wprawdzie p. Jastrzębiec mówi o obronie interesów kościoła katolickiego w Polsce, ale każdy chyba to dobrze wie, iż kościół katolicki nie ma innych interesów w Polsce, a innych w Hiszpanii, lecz wszędzie jedne i te same. Jakie to są interesy kościoła katolickiego, w obronie których chce stawać N. D., to zaraz zobaczymy. Interesy kościoła rzymsko-katolickiego zawsze szły w parze z interesami papieztwa. Papieże zaś po wsze czasy o dwie rzeczy dbali: 1) o jaknajwiększą liczbę

*) Podkreślenia tutaj, jak i w innych miejscach artykułu, są moje.

wyznawców kościoła katolickiego i 2) o władzę jaknajwiększą nie tylko duchową ale i świecką. Jako panujący szli oni niemal razem z innymi monarchami przeciwko ludom, potępiali wszelkie rewolucye i postęp. Stan rzeczy nie zmienił się dotychczas, bo choć Leon XIII nie jest już władcą świeckim, ale nie zrzekł się dotąd praw do świeckiej władzy, dąży doń i w dążeniu tem dba o jaknajwiększą przyjaźń nie tylko z monarchami katolickimi, ale ze wszystkiemi koronowanemi głowami. Zgubny wpływ kościoła rzymsko-katolickiego czyli poprostu Rzymu na Polskę odczuliśmy zwłaszcza po rozbiorze Polski. T. D. P. dobrze rozumiało rolę Rzymu w dziejach Polski to też niedwuznacznie, jasno i ostro występowało przeciwko papieztwu a przez to i przeciwko oficyalnemu kościołowi katolickiemu. „Demokrata Polski" tak pisał o papieztwie i kościele katolickim: „Oceniając w przedostatnim N-rze pierwszy artykuł „Wiadomości Hist. i Lit." pod napisem: „nasza polityka", poznaliśmy zaraz w ich pisarzach *ślepych zwolenników papizmu, a tem samem nieprzyjaciół odrodzenia Polski"* (Nr. z dnia 10 lutego 1838 r.) *„Otwartość, szczerość naszą cechą; mówimy prawdę bez ogródki, i dlatego nie mogliśmy przemilczeć o brzydotach pisarzy, usiłujących w dzisiejszym cywilizacyi stanie bronić katolicyzmu, i stawać w poczcie żarliwych obrońców papieztwa"* (N-er z dnia 11 kwietnia 1838 r.) „Piszcie obronę, lecz głos wasz czczy i bez dźwięku, nie znajdzie echa, nie przejdzie do serc czystych i nieskażonych, nie zajmie umysłu, bo jest na zewnątrz pracy XIX wieku, na zewnątrz pomysłów, które ludzkość odrodzą; zarażony głupotą i egoizmem nie przeniknie do mas, bo te pojmują swe prawa. powinności, i oddawna katolicyzmowi i papieztwu zaintonowały requiem." (Nr. z dnia 11 kwietnia 1838 r.). Sądzę, iż cytat tych wystarczy, aby dać pojęcie o tem, w jakim stosunku było T. D. P. do papiestwa i kościoła katolickiego. Zobaczmyż teraz czy miało racyę, odnosząc się tak wrogo do kościoła katolickiego. interesów którego chce bronić N. D.

„Ktokolwiek *), dla zbadania przyczyn upadku Polski, wczyta się bez uprzedzenia w jej dzieje narodowe, i porówna je z dziejami innych narodów, które byt swój niepodległy zachowały, nie może nie uczuć żalu, że Polska w czasie Reformacyi nie utworzyła osobnego kościoła narodowego, albo nie wytargowała sobie przynajmniej pewnych przywilejów niezależności od Rzymu, na wzór gallikańskich. Wówczas było tylko dwóch świeckich senatorów obstających przy wyznaniu katolickiem, a prymas Uchański obnosił się z myślą zerwania z Rzymem **). Polska niezależna albo mało co zależna od papieża, byłaby zaw-

*) Wyjątek z artykułu J. N. Janowskiego p. n. *Rzym i Polska*, umieszczonego w „Przeglądzie Rzeczy Polskich" Paryż 12 grudnia 1862 roku.

**) Że się u nas zanosiło na zerwanie z Rzymem w połowie XVI wieku, to powszechnie wiadomo; ale może nie jednemu nieznany jest fakt następujący. o którym widzę potrzebę zrobić tu wzmiankę na dowód, jakie wówczas wyobrażenia przemagały w Polsce. Zygmunt August, r. 1556. wyprawił poselstwo do Rzymu z powinszowaniem tyary papieskiej Pawłowi IV. a zarazem z pięciu następującemi żądaniami:

1. aby msza odprawiana była w krajowym języku;

2. aby sakrament wieczerzy pańskiej udzielany był pod dwiema postaciami;

3. aby bezżeństwo księży było zniesione;

4. aby do żadnych danin, mających się uiszczać Rzymowi, Polska nie była obowiązaną;

5. aby był zwołany sobór narodowy dla uprzątnienia nadużyć i pogodzenia zdań religijnych w Polsce.

Te żądania spowodowały Pawła IV do posłania do Polski Aloizego Lipomana, który nie odrazu i nie bez trudności odwrócił jednak niebezpieczeństwo grożące Rzymowi. (Zob. w „Żywotach uczonych Polaków" księdza Chodynieckiego żywot Andrzeja Frycza Modrzewskiego.)

sze pozostała przedmurzem cywilizacyi i tarczą chrześciaństwa, ale nie byłaby skłóciła się z dysydentami, nie byłaby osłabiła węzłów łączących ją z kościołem wschodnio-sławiańskim (jeszcze wówczas zawisłym całkowicie od patryarchy Konstantynopolitańskiego), i uniknęłaby była wojen szwedzkich, moskiewskich i kozackich, które ją podkopały i zrujnowały. Polska, niezależna, albo mało co zależna od Rzymu, byłaby przechowała oświatę, ducha tolerancyi i dążność kojarzenia się z pobratymczymi ludami, na drodze pokoju, dla swego i ich szczęścia. Słowem, po należytem rozpatrzeniu się w dziejach narodowych, i rozważeniu koniecznych warunków do trwałego państw istnienia, niepodobna nie uznać, że zależność Polski od Rzymu, utrzymywana przez jezuitów — jak to już nieraz starałem się rodakom przypominać — była jedną z głównych przyczyn jej upadku".

Gdy Polska zaczęła się chylić do upadku, wtedy papież Klemens XIII w roku 1770, a więc na dwa lata przed pierwszym rozbiorem Polski, tak pisał do Maryi Teresy: *„Najechać i rozebrać Polskę nakazywała nie tylko polityka, ale i interes religii, a dla duchownej korzyści kościoła było rzeczą konieczną, aby Dwór Wiedeński rozciągnął w Polsce panowanie swoje jak najdalej"*. Znane są te słowa Klemensa XIII i niejednokrotnie cytowali je historycy, a między innymi i nasz Lelewel (w „Histoire de Pologne", tom II str. 60 Paris 1844). Któż nad papieża jest kompetentniejszy w sądzeniu, co jest „interesem religii" a zarazem „duchowną korzyścią kościoła"? Podług Klemensa XIII rozbiór Polski leżał w interesie kościoła. Chyba nie takich interesów kościoła katolickiego myśli bronić N. D.? Papież Klemens XIII nie rzucił klątwy na morderców Polski, choć ta Polska zawsze była wierna Rzymowi, ale za to papież Grzegorz XVI znalazł tylko słowa potępienia dla polaków, którzy w r. 1830 powstali, aby odzyskać niepodległość ojczyzny, nad którą pastwili się wrogowie, a przedewszystkiem schizmatycki Mikołaj I. Ponieważ wtedy kler nasz był patryotyczny i wiele duchownych brało udział w powstaniu, przeto Grzegorz XVI w roku 1832 wydał encyklikę do biskupów polskich, w której tak się wyraża o powstaniu: „... Dowiedzieliśmy się zarazem, że *to nieszczęście sprowadzone zostało jedynie przez intrygi złych ludzi, którzy w tych opłakanych czasach, pod pozorem dobra religii, powstali przeciw władzy prawowitych monarchów*, i w przepaść nieszczęść wtrącili swoją ojczyznę, zrywając wszelkie związki uległości prawnej". Mikołaja I nazywa papież w tej encyklice *wspaniałomyślnym cesarzem* i tak dalej pisze do biskupów polskich: *„Teraz, kiedy, dzięki Bogu! spokojnosć i porządek zostały przywrócone*, otwieramy wam znowu serce nasze, i wzywamy was jeszcze mocniej o dołożenie wszelkich starań dla oddalenia od powierzonej wam trzody przyczyn nieszczęść przeszłych".

Jeszcze gorsze względem polaków było zachowanie się Grzegorza XVI podczas rzezi galicyjskiej w r. 1846. Wtedy ówczesny biskup tarnowski ks. Wojtarowicz wydał list pasterski, w którym, wzywając lud do zaniechania rzezi, pisał: „Ponieważ nie wątpimy, że Rząd istniejący, cywilny i wojskowy, zrobi ze swej strony wszystko, co będzie mógł, dla przywrócenia porządku i pokoju, upominam was, w imię Boga, Pana naszego, od którego spodziewacie się błogosławieństwa w tem życiu, a potem odpuszczenia grzechów i żywota wiecznego, upominam was, wróćcie do spokojności." List ten ks. Wojtarowicza nie podobał się bardzo rządowi austryackiemu, boć to nie kto inny jak rząd austryacki w znacznej mierze spowodował rzeź szlachty galicyjskiej, szlachty, która wtedy występowała przeciw rządowi *).

*) Że rzeź szlachty galicyjskiej w 1846 roku była na rękę rządowi, najlepszy dowód, iż „Szeli i urlopnikom, głównym narzędziom i sprawcom tych tak okropnych i niejako urzędowych morderstw ani włos z głowy nie spadł, wy-

Ks. Wajtarowicz za ten list pasterski, w którym wzywał, aby bracia nie mordowali braci, i za to że nie chciał zmusić księży, aby ci dawali rozgrzeszenia przy spowiedzi wielkanocnej sprawcom rzezi, był prześladowany przez rząd i — rzecz nie do uwierzenia! — zmuszony przez Grzegorza XVI do ustąpienia z biskupstwa tarnowskiego. Nie dość na tem. Papież ten prawie jednocześnie z listem pasterskim ks. Wojtarowicza wydał do tego biskupa breve, tak się zaczynające: „Obok umartwień, jakich doświadczyliśmy w tem powszechnem zamieszaniu Rzeczypospolitej chrześcijańskiej i świeckiej, z przykrością dowiedzieliśmy się, iż w państwach naszego ukochanego syna, cesarza Austryackiego, króla węgierskiego i Czeskiego, uknuto szkaradny spisek przeciw jego wszechwładztwu, spisek, ułożony potajemnie przez ludzi, którzy w dzisiejszych smutnych czasach idą za popędem swych żądz, którzy wzburzeni jak fale morskie gardzą wszelką władzą, i złorzeczą tronom, i którzy będąc *podstępnymi sprawcami kłamstwa i oszustwa*, okrywają się bezbożnie pozorem dobra publicznego i religii, i starają się uwieść niedoświadczoną masę, wprowadzić ją w błąd i pobudzać do buntów, ażeby zburzyć, gdyby się dało, prawa i porządek każdego państwa!“ A więc tej szlachty, wyrzynanej przez otumaniony lud, nie bierze papież w obronę, owszem nazywa ją nawet „ludźmi, którzy idą za popędem swych żądz“ i „podstępnymi sprawcami kłamstwa i oszustwa“! Takim był Grzegorz XVI, potępiający nasze powstanie 1830 r., stający po stronie rządu austryackiego podczas rzezi galicyjskiej 1846 r. uroczyście przyjmujący cara Mikołaja I w Rzymie... Słowacki w „Kordyanie“ wiernie charakteryzuje tego smutnej pamięci dla nas papieża, gdy mu kładzie w usta następujące słowa:

„Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich?
Dziękczynień modły niosę za ów Kraj szczęśliwy,
Bo Cesarz jako anioł z gałązką oliwy,
Dla katolickiej wiary chęci chowa szczere;
Powinniśmy hosanna śpiewać...
Niech się polaki modlą, czczą Cara i wierzą...“

Następca Grzegorza XVI Pius IX w roku 1862 zakazał w kościołach modlić się za Polskę, a encyklikę Leona XIII do biskupów polskich, którą dobrze chyba wszyscy pamiętamy, możnaby streścić w autora „Kordyana“ słowach: niech się polaki modlą, czczą swoich cesarzów i wierzą.

Taką była polityka papieżów względem Polski, takim był interes kościoła rzymsko-katolickiego. Przekonani jesteśmy, iż nie takiego interesu kościoła katolickiego chce bronić N. D. A więc pocóż ten frazes w programie N. D. o obronie interesów kościoła katolickiego? Czyż dla tego chce bronić N. D. interesów kościoła katolickiego, że ich broniła ongi czartoryszczyzna?

Zgadzam się zupełnie z tow. Mazurem *), który twierdzi, że zwalczanie N. D. wszelkimi środkami uważa za godne potępienia, tak jak najsurowiej potępić by należało, gdyby np. P. P. S. zaboru austryackiego zechciała za wszelką cenę walczyć ze stronnictwem ludowem. Oddajemy każdemu, co jego. N. D. bezwarunkowo ma zasługi, rozpowszechniając np. „Polaka“ w zaborze rosyjskim.

---

rznięto tylko przeszło tysiąc szlachty! Owszem, Jego Apostolska Mość Ferdynand I, w reskrypcie swym z dn. 12 marca, wyraził nie tylko czułe podziękowanie siepaczom „za ich prawość i niewzruszoną wierność dla monarchy“; ale późniejszymi reskryptami z d. 25 czerwca, 11 lipca i 18 sierpnia (1846 r.) przyznał im pieniężne nagrody, a ich kierownikom cywilnym i wojskowym nadał bądź szlachectwo, bądź ordery i honorowe złote medale!“ (J. M. Janowski. Rzym i Polska.)

*) Patrz artykuł Mazura p. t. „W ważnej sprawie“

Ale wytykajmy też bez ogródek każdej partyi błędy, jakie, naszem zdaniem, popełnia. A za błędy uważamy propagowanie jakiegoś egoizmu narodowego, choć ma być on „zdrowy“, za rzeczy szkodliwe, za czynniki kontrrewolucyi uważamy obronę interesów kościoła katolickiego przez partyę demokratyczną, nazywanie powstania niedorzecznością i liczenie jedynie na obcych w sprawie odzyskania niepodległości Polski. I my niewątpliwie postaramy się podczas przyszłego powstania wyzyskać „siły zewnętrzne“, ale przedewszystkiem liczymy na siebie i w innych staramy się wpajać, iż tylko na siebie liczyć trzeba. Propagowanie idei cierpliwego czekania „odpowiedniej dla nas kombinacyi“ uważamy za demoralizujące dla rewolucyonistów polskich. Nam szkody N. D. wielkiej przynieść nie może, owszem praca jej nieraz korzyść polskiej sprawie rewolucyjnej przynosi, bo demokratyzuje ona potrochu takie sfery, jak kler, szlachtę, umiarkowaną młodzież, — sfery, które z socyalizmem nic wspólnego mieć nie chcą. My też ich nie staramy się gwałtownie przeciągać na naszą stronę, bośmy nie partyą liczby, lecz zasad. Śmiało powtórzyć możemy słowa manifestu T. D. P. „kto jak my wierzy w świętość celów, w sumienność zasad, i skuteczność środków naszych; czyje serce czysto bije dla ojczyzny i ludzkości, niech usiłowania swoje z naszemi łączyć przychodzi .. Innej wiary ludziom nie podamy ręki . . .“

Makryna Witwicka.

Z PRASY

Dotychczas nie mieliśmy potrzeby występować przeciwko „Dziennikowi Berlińskiemu“, wydawanemu przez grupkę młodzieży, nazywającej siebie „narodowo-demokratyczną“. Jakkolwiek widzieliśmy, że mamy przed sobą ludzi o niezbyt wyklarowanych jeszcze poglądach, to jednak szczerość i zapał ich wystąpień usposabiały nas do nich sympatycznie. Byliśmy i jesteśmy tego zdania, że prawdziwy patryotyzm i rzeczywisty demokratyzm w znieprawionem przez lojalizm pruski i wszechwładzę szlachecko-klerykalną społeczeństwie zaboru pruskiego są czynnikami w wysokim stopniu dodatnimi. To też nie przywiązywaliśmy wielkiej wagi do tych błędów, które „Dziennik Berliński“ popełniał, i z sympatyą śledziliśmy np. jego kampanię przeciwko centrum i „Katolikowi“ na Górnym Śląsku, prowadzoną z zasługującą na podniesienie energią i bezwzględnością. Ale ta walka, jako też i inne *szczere* wystąpienia „Dziennika Berlińskiego“, nie przypadły, naturalnie, do gustu pp. od „Przeglądu Wszechpolskiego“, którzy zaczęli półgębkiem wypierać się solidarności z „Dziennikiem Berlińskim“, w końcu zaś zaznaczyli, że zbyt ostre występowanie przeciwko „Katolikowi“ jest wodą na młyn socyalistów. Młodzieńców od „Dziennika Berlińskiego“ opadł widocznie strach, że się narażą na ostateczną stratę łaski naczelnej władzy stronnictwa narodowo-demokratycznego, więc postanowili pokazać, że wcale jeszcze tak źli nie są, jak przypuszcza „Przegląd Wszechpolski“. Wystąpili więc przy pierwszej sposobności przeciwko P. P. S. na wzór „Przeglądu Wszechpolskiego“. Mówiąc o zatargu pomiędzy P. P. S. zaboru pruskiego a niemiecką partyą socyalistyczną, „Dziennik Berliński“ pisze:

„Ostatecznym powodem zerwania stosunków jest fakt, że P. P. S. zaboru pruskiego umieściła w programie swoim dążenie do niepodległej Polski. Hasło to podniosła najpierw *antynarodowa w najpierwszym stopniu do niedawna P. P. S.* w zaborze rosyjskim a uczyniła to jedynie, *aby*

módz współzawodniczyć z stronnictwem demokratyczno-narodowem, które postulat ten od samego początku umieściło w swym programie; obecnie zaś P. P. S. wprost nadużywa hasła tego lekkomyślnie, bałamucąc niewyrobione politycznie warstwy ludowe“.

Nie podejrzewamy redakcyi „Dziennika Berlińskiego“ o rozmyślne i świadome okłamywanie swoich czytelników. Wszystkie fakty, mieszczące się w powyższym wyjątku z artykułu „Nadzieje socyalistów“ (Nr 226 Dz. Berl.) są jedynie wynikiem tej ciemnoty, jaką szerzy „Przegląd Wszechpolski“ i przywódcy N. D. wśród młodzieży. Nie wątpimy ani na chwilę, że Red. „Dziennika Berlińskiego“ natychmiast po odczytaniu słów następujących, zamieści sprostowanie konieczne. (Red. „Dz. B.“ otrzymuje „Przedświt“ na wymianę.). Otóż, gdyby Red. „Dz. Berl.“ chciała się bliżej zapoznać ze sprawami, o których pisze, bardzo łatwo mogłaby się dowiedzieć, że hasło niepodległości Polski zostało umieszczone w programie, wypracowanym na zjeździe paryskim w r. 1892, i że P.P.S. od pierwszej chwili istnienia (to znaczy od r. 1893-go) program ten za swój uznała, a więc w żaden sposób nie mogła być „antynarodową w najpierwszym (?!) stopniu do niedawna“. Następnie Red. „Dz. Berlińskiego“ mogła się bardzo łatwo dowiedzieć — np. z owej sławnej „Odezwy“ Komitetu Centralnego Ligi Narodowej“ z dnia 8-go grudnia 1899 r. — że stronnictwo demokratyczno-narodowe „w r. *1896* wystąpiło ze sformułowanym programem“, a więc dopiero w *trzy* lata po przyjęciu programu niepodległościowego przez P. P. S. mogło umieścić hasło niepodległości w swym programie. O „nadużywaniu“ przez nas hasła niepodległości wolimy już przemilczeć, bo chyba Red. „Dz. B.“ zdążyła zrozumieć, jakie głupstwo palnęła, nieostrożnie powtarzając zarzut „Przeglądu Wszechpolskiego“, wypływający, jak nas niektórzy zapewniają, z pobudek czysto .... finansowych.

„Trzeba się uczyć — upłynął wiek złoty!“ — moglibyśmy powiedzieć „Dz. Berlińskiemu“, który, pisząc o stosunku P. P. S. do N. D., nie zajrzał ani do socyalistycznych, ani do narodowo-demokratycznych źródeł.

W tym samym artykuliku „Dz. B.“ czytamy następujący ustęp:

> W ostatnim numerze krakowskiego miesięcznika „Krytyka“ omawia sprawę tę niejaki p. St. Os...arz i przychodzi do rezultatu, że chwila rozłamu, „która miała się stać ostatnią dla P. P. S., w rzeczywistości była punktem wyjścia dla nowej ery w ruchu socyalistycznym zaboru pruskiego“. Gdy bowiem dawniej oglądanie się na obcą pomoc osłabiało inicyatywę i energię kierowników polskiego ruchu socyalistycznego, którzy nie wkładali w sprawę tyle zapału, ile było potrzeba, i robili mniej niż było można, to obecnie wszyscy zostali ogarnięci jednem silnem pragnieniem stanowczego oparcia się naciskowi nieprzyjaznych żywiołów i niedopuszczenia do upadku „Gaz. Robotn.“. Wzmogła się ofiarność na cele ruchu, sam ruch ożywił się i począł wchodzić na nowe tory. Zważywszy to wszystko autor artykułu bardzo wiele obiecuje sobie po tem „ukrajowieniu“ polskiego ruchu socyalistycznego w zaborze pruskim, zwłaszcza, że jedynego współzawodnika przy pozyskaniu budzących się do samoistnego życia politycznego mas ludowych widzi w t. zw. stronnictwie ludowem, które zresztą posądza o to, że za cenę paru mandatów pogodzi się z kierownictwem szlachty.
>
> Pomimo że powinszować możemy socyalistom polskim, że się wreszcie — choć tylko z musu i niewiadomo na jak długo — wyrzekli niegodnej roli niemieckich pachołków (!!), to jednak obowiązkiem naszym dołożyć wszelkich starań, ażeby panom socyalistom nie tak łatwo, jak się spodziewają, powiodło się opanować lud polski, i ażeby prócz luźnej gromady ludowców stanął im w drodze poważniejszy przeciwnik, tj. silne stronnictwo demokratyczno-narodowe.

Możemy zapewnić Red. „Dz. Berl.“, że na Górnym Śląsku — to jest tam, gdzie P. P. S. przedewszystkiem lud polski „opanuje“, narodowi demokraci, o ile

pozostaną szczerymi przeciwnikami centrowców niemieckich i polskich i obrońcami interesów klasy robotniczej, za jakich się uważają, *muszą wbrew swej woli* dopomagać *nam* do „opanowania“ ludu polskiego, albo, zwalczając socyalizm, pójść w ślady „Przeglądu Wszechpolskiego“ — to znaczy skwitować z obrony interesów klasy robotniczej, przestać lud „bałamucić“ hasłem niepodległości i popierać „Katolika“. Tertium non datur!

* * *

W nowoyorskim żargonowym organie socyalistycznym „Vorwärts“ spotykamy się z dość oryginalnie uzasadnionem potępieniem taktyki Bundu względem programu politycznego P. P. S. Znajdujemy je w artykule „Bund a kwestya narodowa“, podpisanym przez S. A. Hurwicza. Podajemy tu obchodzący nas ustęp artykułu tow. Hurwicza:

„.... Pomiędzy Bundem a t. zw. P. P. S. trwa od paru lat walka, w której, według mego zdania, polacy w gruncie rzeczy mają słuszność. Polska partya socyalistyczna jest jednocześnie stronnictwem narodowem, które dąży do politycznej niepodległości Polski. Bund, przeciwnie, twierdzi, że socyalnych demokratów wogóle nic nie obchodzą państwa; nie jest to nasza rzecz — stoi w sprawozdaniu ze zjazdu Bundu — zmieniać ich granice i wykrawać nowe państwa z dawnych. Żądamy zupełnej wolności i równości pod każdym względem, co się zaś tyczy równouprawnienia narodowościowego, to widzimy jedyną gwarancyę jego w samorządzie narodowym, nie zaś w niezależności terytoryalnej.

Innemi słowami Bund żąda, ażeby żydzi byli wszędzie uznani za równouprawnioną narodowość, jak np. finowie i szwedzi do niedawna w Finlandyi. Czy zaś w kraju będzie panował rząd rosyjski, czy polski, to Bundu nie obchodzi. Pytanie — dla czego? Dla tego, że przysporzyłoby to zadużo ambarasu. Zaczęłyby się kłótnie bez końca — mówi sprawozdanie: Polska wojowałaby z Litwą i Ukrainą o granice... polacy np., którzy mieszkają w Kijowie ciążyliby ku państwu polskiemu. Naturalnie, Bund nie życzy sobie, ażeby go w tych sprawach pociągano jako świadka, choć, właściwie mówiąc, niema się czego bać, gdyż tymczasem jeszcze żydom nie wolno mieszkać w Kijowie. Ale, żart na stronę, jest to istotnie dziwne, że poważni ludzie mogą się gryźć o takie rzeczy, które staną się wówczas, kiedy przyjdzie Mesyasz. Niepodległość Polski jest rzeczą tak odległą, jak t. zw. „rewolucya socyalna“. Ale w Polsce istnieje mocno zakorzeniona dążność narodowa i dlatego P. P. S. przyjęła do swego programu żądanie niepodległości Polski. Komu się dzieje przez to krzywda? Dlaczego żydzi mają być temu przeciwni? Dyplomatyczne „kombinacye“ Bundu są nieco przedwczesne, a jego pobudki teoretyczne stanowią krok wstecz — ku bakunizmowi z jego federacyą autonomicznych gmin.

Gdyby jeszcze Bund całkiem ignorował kwestyę narodową, mógłby naturalnie konsekwentnie powiedzieć, że jest związkiem robotniczym i zajmuje się wyłącznie klasowymi interesami robotników. Ale Bund wyrzeka się stanowiska kosmopolitycznego i broni interesów narodowych ludu żydowskiego. W takim razie jest to wielki błąd, jeśli się mówi, że socyalnych demokratów nic nie obchodzą państwa i że żądają oni jedynie autonomii narodowej. Przecież autonomia narodowa musi być uregulowana przez jakieś prawo, prawa zaś są wydawane przez państwa. A więc przedstawiciele żydowskiej autonomii narodowościowej posiadają przecież jakiś interes w tem, jak mają być granice państwa wykrojone.

Kiedy już mówimy o interesach narodu żydowskiego, musimy postawić pytanie: w jakiem państwie, gdzie mają żydzi pomyślniejsze widoki urzeczywistnienia swych żądań narodowych — w Rosyi czy w Polsce? Na to istnieje tylko jedna odpowiedź: samo przez się rozumie się, że w Polsce, właśnie w „dawnej Polsce“. Prawie wszyscy t. zw. żydzi ro-

syjscy mieszkają jeszcze do dziś dnia na Litwie i w Polsce, to znaczy w krajach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Przy obecnych stosunkach niema żadnych widoków przynajmniej na jakie 25 lat, ażeby żydzi otrzymali dostęp do Rosyi właściwej. Z Litwy i z Polski nie podobna ich w żaden sposób wypędzić, więc długo jeszcze będą oni tam stanowili 50 % (?) całej ludności i większość (?) ludności miejskiej. W Rosyi konstytucyjnej żydzi będą stanowili tylko mały procent, kiedy w konstytucyjnej Polsce będą potęgą polityczną. Widocznem więc jest, że narodowe interesy żydów na Litwie i w Polsce zupełnie godzą się z polskiemi narodowemi dążnościami. Wskutek tego stosunek Bundu do P. P. S. jest błędem politycznym".

Jakkolwiek takiego uzasadnienia konieczności solidarnego działania socyalistów żydowskich z chrześciańskimi na Litwie i w Polsce nie uważamy za właściwe, to jednak notujemy głos tow. Hurwicza jako objaw reakcyi w kołach żydów, nie należących do naszej partyi, przeciwko anarchistyczno-rusyfikacyjnym tendencyom Bundu.

* * *

W poprzednim Nrze „Przedświtu" zdawaliśmy sprawę z artykułu „Iskry", skierowanego przeciwko jednej z uchwał ostatniego zjazdu „Bundu". W Nrze wrześniowym „Iskry" znajdujemy odpowiedź Komitetu Centralnego Bundu wraz z notatką redakcyi „Iskry". Podajemy główne ustępy tej ostatniej, dające pojęcie i o charakterze odpowiedzi K. C. „Bundu".

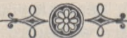
„K. C. chce nas zapewnić, że pod „zupełną autonomią", z której, według rezolucyi zjazdu, powinni korzystać żydzi w przyszłej Rosyi, mającej przekształcić się w „federacyę narodowości" — że pod tą „zupełną autonomią" należy rozumieć tylko „autonomię w sprawach języka, oświaty, sztuki itd. Jedno z dwóch: albo K. C. chce powiedzieć, że pod „zupełną autonomią" zjazd rozumie tylko prawo drukowania gazet, przemawiania na zgromadzeniach i wystawiania sztuk teatralnych w żargonie, urządzania szkół żydowskich itd. Ale w takim wypadku Bund powinien przedewszystkiem ogłosić swą „autonomię" w sprawie dowolnego używania wyrazów, posiadających całkiem określone znaczenie we wszystkich językach, albowiem od wolności języka do „zupełnej autonomii" jeszcze bardzo daleko, i wtedy nie było potrzeby mówienia o „federacyi narodowości", albowiem powyższa wolność języka i kultury nie stawia jeszcze narodowości w stosunki federacyjne względem innych narodowości. Albo mowa była o uznaniu języka żydowskiego za „państwowy" dla pewnego obszaru, o urządzaniu „skarbowych" uniwersytetów żydowskich itp. prawach i w takim wypadku sprawa dotyczy rzeczywistej autonomii, czegoś podobnego do „żydowskiego królestwa z własną policyą, żandarmeryą, z własną biurokracyą i z własnym rządem", jak ironicznie wyrażał się Bund trzy lata temu, mówiąc o syonistach, do których tak się obecnie zbliżył. A w takim razie nasze pytanie: w granicach jakiego terytoryum będzie założone to „królestwo" autonomiczne? — jest całkiem na miejscu. Przekształcenie Rosyi na federacyę narodowości oznacza wyodrębnienie każdej narodowości jako oddzielnej — korzystającej w pewnym zakresie z samorządu — całości, które już ze względu na samą istotę ustroju federacyjnego nie może nie stanowić pewnego terytoryum. Bardzo cieszymy się z tego, że obecnie K. C. Bundu nie marzy o *takiej* autonomii. Ale ponieważ uchwały zjazdu mówią coś wręcz przeciwnego temu, co utrzymuje K. C., przeto poprosimy go najprzód o porozumienie się ze swoją organizacyą, czego ona właściwie chce. K. C. bardzo dowcipnie zapewnia, że wyrazy, „uważając S. D. P. Rosyi" itd. stosują się do przyszłości. Niestety, i tu jej cesarska mość gramatyka nie pozwala na takie tłómaczenie. Jeślibyśmy np. powiedzieli: „uważając kierowników Bundu za ludzi, kiepsko oryentujących się w kwestyi narodowościowej", to każdy zrozumie to jako charakterystykę teraźniejszości,

a nie przyszłości, i będzie miał słuszność. Znowu więc bardzo pocieszający fakt, że K. C. stara się, jakkolwiek po części, „złagodzić“ sens zanadto „energicznej“ rezolucyi. Dowodzi to, że przestraszył się konsekwencyi tego kroku jaki uczynił zjazd.... Pozostaje tylko kwestya, czy Bund, jako całość, przyjmuje tłómaczenie swego K. C. Zresztą ten ostatni za pomocą jednej swej uwagi unicestwia swe tłómaczenie, potwierdzając tem samem, że zjazd przecież zmienił wzajemne stosunki Bundu i Partyi. On opowiada, że aż do zjazdu Partyi zasada federacyjna będzie wprowadzana w życie „częściowo“ — w stosunkach organów Bundu do zagranicznych organizacyi socyalnodemokratycznych. Jednakże do czasu, póki nowe stosunki organizacyjne nie zostały uznane przez partyę w całości, nie może być żadnej mowy o ich częściowem wprowadzeniu w życie żadna organizacya socyalnodemokratyczna nie może bez wiedzy całej partyi uznać tych uchwał, które sam K. C. w swym liście uważa jako propozycye, mające być rozpatrzone przez zjazd Partyi. I wszelka próba Bundu skorzystania z czasowego nieładu organizacyjnego w Partyi dla zmiany „częściowej“ swego w niej położenia, będzie spotkana przez wszystkich, dla kogo są drogie interesy wszechrosyjskiego (rossijskawo) ruchu w całości, z tem większem potępieniem, im bardziej niewinny charakter usiłuje się jej nadać“.

W końcu „Iskra“ odpowiada na twierdzenie Bundu, jakoby ten nikomu oprócz K. C. Partyi (nieistniejącego, jak wiadomo) nie potrzebował zdawać sprawy z swych postępków.

„Nie tylko „zdawania sprawy“, ale i odpowiedzi na naszą notatkę, pisaną właściwie dla naszych czytelników, nikt od K. C. Bundu nie żądał... Trzeba porządnego braku wychowania politycznego, ażeby, odpowiadając .... listem w tym samym naszym organie, z dziecinną pretensyą mówić o swem prawie „nie zdawać sprawy“. Przecież nikt was nie ciągnął za język“.

Pytanie teraz, czy Bund jest organizacyą „autonomiczną“ — czy „federacyjną“?



Z KRAJU I O KRAJU

Konferencya okręgu krakowskiego

W niedzielę dnia 20 października odbyła się w lokalu Związku stowarzyszeń robotniczych w Krakowie konferencya partyjna okręgu krakowskiego z porządkiem dziennym: 1) Organizacya i agitacya. 2) Prasa. 3) Podatek partyjny. 4) Wybór komitetu okręgowego. 5) Wnioski i interpelacye. Na konferencyę zjawili się delegaci organizacyi partyjnych z Krakowa, Podgórza, Biały, Oświęcimia, Tarnowa, Nowego Sącza i Gorlic. Zagaja obrady tow. Misiołek, poczem obrano prezydyum, w skład którego weszli: tow. Daleki z Biały i tow. Misiołek z Krakowa, jako przewodniczący, tow. Synowiec z Oświęcimia i tow. Z. Żuławski z Krakowa, jako sekretarze.

Po referacie tow. Sułczewskiego o organizacyi i agitacyi i po dyskusyi, w której zabierali głos liczni towarzysze, konferencya powzięła następujące uchwały:

1) Konferencya wzywa główny Zarząd partyjny, aby zorganizował dalszą pracę sekretaryatu zawodowego.

2) Konferencya postanawia tworzyć miejscowe organizacye z mężów zaufania, wybieranych przez grupy towarzyszów lub mniejsze miejscowości.

3) Konferencya poleca towarzyszom na prowincyi popieranie dążności i celów uniwersytetu ludowego.

4) Konferencya poleca towarzyszom z całego okręgu prowadzenie dokładnych ksiąg rachunkowych i sprawozdań z życia partyjnego.

Do drugiego punktu porządku dziennego, „prasa“, zabrał głos tow. Daszyński i w dłuższem przemówieniu przedstawiał korzyści, jakie odnosi partya cała z codziennego pisma. „Naprzód“ przez 20 miesięcy swego istnienia stał się towarzyszem każdego, bronił dzielnie i wytrwale interesów klasy pracującej i, pomimo niesłychanych prześladowań, na jakie był narażony ze strony władz, nie ustąpił ani o krok z zajmowanego przez się stanowiska. Obowiązkiem każdego zorganizowanego robotnika jest popierać ten jedyny dziennik socyalistyczny. Dawniej prenumerowały organizacye obowiązkowo „Naprzód“ tygodniowo, kiedy jednak „Naprzód“ zamieniono na dziennik, zwyczaj ten ustał; dziś organizacye powinny go wskrzesić i w miejsce dawnego tygodnika prenumerować dla swych członków niedzielny numer „Naprzodu“, który będzie stanowił pewną odrębną dla siebie całość.

Po przemówieniach tow. Malisza, Misiołka, Sułczewskiego i Teodorczuka uchwalono:

1) Polecić przeprowadzenie w stowarzyszeniach zawodowych, politycznych i kształcących okręgu krakowskiego uchwałę, na mocy której każde stowarzyszenie ma zaprenumerować obowiązkowo dla swych członków niedzielny numer „Naprzodu“. Uchwała ta nie dotyczy stowarzyszeń, popierających przymusowo organ zawodowy.

2) Polecić towarzyszom gorliwe zajęcie się rozprzedażą 1-koronowych bonów na fundusz prasowy.

3) Konferencya przyłącza się do uchwały kongresu z 29 czerwca b. r. i wzywa komitet wykonawczy, aby jaknajprędzej przystąpił do wydawania „Latarni“.

4) Konferencya postanawia przydzielić wydawnictwo „Prawa Ludu“ mającemu utworzyć się komitetowi okręgowemu.

Po krótkiej przerwie, zarządzonej przez przewodniczącego, przystąpiono do obrad nad podatkiem partyjnym.

Tow. Teodorczuk wykazał, że od czasu, kiedy wzrosła partya liczebnie, wzmogły się też i jej wydatki. Obecnie wydatków nie można pokryć już z dochodów, płynących z dobrowolnych wkładek towarzyszów. Od dwu lat wprowadzono w Krakowie podatek partyjny; zadaniem obecnej konferencyi jest podatek ten, uchwalony już przez kongres i przez konferencye innych okręgów, wprowadzić również w całym okręgu krakowskim.

Po krótkiej dyskusyi, w której wszyscy towarzysze uznawali konieczność wprowadzenia podatku, uchwalono wszystkie wnioski referenta:

1) Konferencya okręgowa ustanawia podatek partyjny dla wszystkich towarzyszów okręgu krakowskiego w kwocie 2 ct. tygodniowo. Z tak otrzymanego funduszu 20% zabiera zarząd główny, 40% komitet okręgowy, 40% pozostawia dla siebie komitet miejscowy.

2) Tak członkowie komitetu miejscowego, jak i okręgowego, są odpowiedzialni za marki, które komitet otrzymał.

3) Komitety miejscowe obowiązane są do 10-go każdego miesiąca zdać rachunek z marek komitetowi okręgowemu, ten zaś najdalej do 15-go każdego miesiąca komitetowi wykonawczemu, przyczem komitet miejscowy zatrzymuje dla siebie 40% zebranej za marki kwoty, komitet zaś okręgowy oddaje $1/3$ z otrzymanej sumy komitetowi wykonawczemu.

W sprawie wyboru komitetu okręgowego zabrał głos tow. Żuławski i zaproponował wybór komitetu z 12 członków w ten sposób, aby do komitetu weszło 7 towarzyszów, zamieszkałych w Krakowie, i 5 zamiejscowych, którzyby tworzyli komisyę kontrolującą.

Do komitetu okręgowego wybrani zostali: tow. Bryniarski, dr. Drobner, Czechowski, Chojnicki, dr. Zygmunt Marek, Sułczewski i Żuławski z Krakowa, nadto tow. Daleki z Białej, tow. Synowiec z Oświęcimia, tow. Mendlarski z Nowego Sącza, tow. Surman z Podgórza i jeden tow. z Tarnowa, którego do komitetu zgłoszą w przeciągu 8 dni towarzysze tarnowscy.

Na zakończenie wezwał tow. poseł Daszyński organizacye zamiejscowe do wzięcia jaknajliczniejszego udziału w kongresie ogólnoaustryackim, który rozpocznie się dnia 1-go listopada b. r., poczem tow. Misiołek, dziękując uczestnikom za przybycie, konferencyę zamknął.

Po konferencyi odbyło się konstytuujące posiedzenie komitetu okręgowego. Przewodniczącym wybrano tow. dra Zygmunta Marka, zastępcą tow. Fr. Sułczewskiego, skarbnikiem tow. dra Drobnera, sekretarzem tow. Żuławskiego.

* * *

Wobec wyborów na Górnym Śląsku.

Jakkolwiek od wyborów do parlamentu berlińskiego dzieli nas jeszcze dwa lata czasu, to jednak różne stronnictwa w zaborze pruskim już teraz poczynają się zajmować sprawą kandydatur w dzielnicach polskich. Zwłaszcza interesuje wszystkich stanowisko partyi polskich względem kandytatów centrowych na Górnym Śląsku. W ostatnich czasach, pod wpływem wzrostu uświadomienia narodowo-społecznego polskiej ludności górnośląskiej — z jednej strony, a coraz wyraźniejszych objawów hakatyzmu w centrum — z drugiej, na Górnym Śląsku poczyna wyłaniać się myśl zerwania stanowczego z centrum. Organy młodzieży narodowo-demokratycznej — „Dziennik Berliński“ i „Goniec Wielkopolski“ otwarcie dążą do tego celu, pragnąc, ażeby na Górnym Śląsku stawiano niezależne polskie kandydatury demokratyczne, — wrogie centrowcom „Katolik“ wraz z oportunistycznym „Przeglądem Wszechpolskim“ zajmuje stanowisko niewyraźne. Ciekawe, że to ostatnie pismo uznaje wpływ nasz na częściowe zradykalizowanie się w ostatnich czasach „Katolika“. Organ menerów narodowo-demokratycznych pisze: „.... kto zważy, że w najnowszym czasie socyaliści po przeniesieniu swej „Gazety Robotniczej“ z Berlina do Katowic postawili twierdzę dla swej propagandy, której wiele niezadowolonych robotników ulega, ten łatwo się przekona, że „Katolik“, chcąc nie chcąc, musi zmienić swój sposób prowadzenia ruchu narodowego, jeśli go nie chce zaprzepaścić“. Ciekawem jest, co pisze pewien „Ślązak“ w „Kraju“ petersburskim o planach katolikowców względem okręgów górnośląskich. Czytelnicy nasi wiedzą, że podczas ostatnich wyborów do parlamentu kandydaci socyalistyczni otrzymali bardzo poważne mniejszości w dwóch okręgach wyborczych najbardziej przemysłowej części Śląska — w katolicko-zabrskim — 9.829 i w bytomsko-tarnowickim 7.955. W tych okręgach centrowcy otrzymali 20.048 i 17.029 głosów. Według informacyi wzmiankowanego korespondenta „Kraju“ dotychczasowi posłowie z tego okręgu — Letocha i Stephan — nadal nie będą kandydować. Okręg zabrski jest zdaniem tegoż korespondenta „zagrożony przez socyalistów“. W tych więc okręgach katolikowcy mają zamiar zażądania od centrowego komitetu centralnego postawienia polskich kandydatów, „na co komitet w interesie swym własnym przystać powinien“. „Rozumie się — dodaje korespondent, — że postawilibyśmy kandy-

datów, których i partya centrum przyjąćby mogła“. Dożyjemy więc czasów, że „Germania“, „Katolik“ i „Przegląd Wszechpolski“, a może i „Dziennik Berliński“ będą jednozgodnie popierały wspólnego kandydata pod hasłem zwalczania socyalizmu polskiego. Ułatwi to nam tylko pracę demaskowania „patryotyzmu“ i „demokratyzmu“ tych organów.

* * *

Warszawa, w październiku

Z chwilą aresztowania podejrzanego o „zbrodnię“ polityczną rząd poczyna wywierać zemstę za pośrednictwem żandarmów nie tylko na nim, ale na całej rodzinie uwięzionego, która musi złożyć haracz z cierpienia. Czasem trudno nawet określić, kto cierpi więcej. Więzień spotyka się ze swymi oprawcami tylko podczas badań, gdy tymczasem rodzina jego z konieczności musi mieć częste a nad wyraz przykre stosunki z żandarmami. Ci ostatni nie szczędzą jej żadnych upokorzeń, które matka, siostra lub żona muszą znosić z zaciśniętymi zębami, jeśli nie chcą pogorszyć położenia uwięzionych. Bo i cóż zrobi matka, gdy podając prośbę o uwolnienie syna i kładąc nacisk na brak utrzymania, słyszy od żandarmów kazanie na temat, że syn sam powinien był zastanowić się nad tem, co czyni, na co naraża starą matkę, słyszy ubolewania żandarma nad położeniem rodziny itd. Niejednej matce albo siostrze chciałoby się wówczas plunąć w twarz fijołowi i uciec czemprędzej z tego gniazda katowskiego. Ale mało takich, którzyby się odważyli nawymyślać żandarmowi, ażeby następnie gryźć się tem, że się zaszkodziło uwięzionemu. Gdy się zaś puści zniewagę płazem, pozostaje przykre upokorzenie.

Należy podnieść fakt, że zachowywanie się kobiet (bo te najczęściej chodzą w sprawie uwięzionych do zarządu żandarmeryi) ze sfery robotniczej, na ogół biorąc, jest daleko sympatyczniejsze, niż inteligentek. Robotnice nigdy nie silą się np. mówić po rosyjsku, jak to czynią inteligentki, w tym samym stopniu nie znające języka urzędowego żandarmów — szczególniej kobiety starsze. Ściskanie rąk żandarmom przez inteligentów i inteligentki jest na porządku dziennym, co szczególniej wywołuje oburzenie wśród robotnic. Te ostatnie żądają, nie proszą, ulg i udogodnień dla swych mężów lub braci, nie ukrywając pogardy dla ciemiężycieli Co najsympatyczniejsze, to to, że winę swego rozpaczliwego nieraz położenie przypisują jedynie żandarmom, gdy inteligentki — wszystkie niemal — jawnie czują żal do swoich za niepotrzebne kompromitowanie się. Pewna robotnica uspakajała w te słowa lamentującą matkę:

— Pani droga, jak można płakać wobec żandarmów, łzy nasze toż to uciecha dla nich.... Myśmy powinny ból nasz ukryć tak, by te łotry ani domyślały się go. Mój mąż siedzi już 8 miesięcy, zostałam z pięciorgiem dzieci, sama ciężko chorowałam, posprzedawałam wszystko, co sprzedać mogłam, obecnie żyjemy z 8 rubli, co je 14 letnia moja córka zarabia.... A życie to straszne — już z trzeciego mieszkania nas wyrzucają, bo płacić niema czem, a trochę herbaty bez cukru i chleba starczyć musi za całe pożywienie.... Ile cierpię, ile łez wyleję i nocy nie dośpię, ja tylko wiem, ale tutaj wobec żandarmów płakać bym nie umiała“.

Oto jeszcze przyczynek do charakterystyki zachowywania się kobiet sfery robotniczej.

W pewnem mieszkaniu robotniczem zrobiono rewizyę, ale nic nie znaleziono. Kiedy mieli się już wynosić, rewirowy zwrócił uwagę na łóżko, stojące pod oknem, a noszące ślady nóg. Widocznie ktoś stawał na niem w celu otworzenia okna. Istotnie pod oknem znaleziono trochę bibuły. Dwaj bracia — robotnicy, mieszkający razem, nie przyznali się do posiadania tej bibuły, co jednak

nie przeszkodziło żandarmom zabrać ich i osadzić w więzieniu. Po niejakim czasie młodszy z braci oświadczył żandarmom, że bibuła ta była własnością starszego i że bratowa, posłyszawszy kroki żandarmów, wyrzuciła ją przez okno. Kiedy ta ostatnia do winy się nie przyznała, żandarmi urządzili „oczną stawkę“, zachęcając do przyznania się zupełnem uwolnieniem od odpowiedzialności wszystkich trojga. W przeciwnym razie grozili więzieniem i kobiecie. Gdy brat młodszy powtórzył oskarżenie przy niej, uderzyła go w twarz, mówiąc:

— Kłamiesz, podły, własnego brata chcesz zgubić za głupią obietnicę! Dlaczegoż ciebie nie wypuszczono, przecież przyznałeś się do winy? A co do mnie, to dobrze, niechaj mię aresztują, będę przynajmniej miała co jeść i gdzie mieszkać“.

Wówczas żandarm, powiedziawszy, że mąż jej zgnije w więzieniu, kazał jej się wynosić.

Ile czasami biedna robotnica musi wycierpieć, tego nikt nie zdoła ocenić, bo się też o tem najczęściej nic nie wie. Oto np. matka 16-letniego chłopca w ciągu 2-ch tygodni straciła wskutek aresztowania najstarszego syna troje młodszych dzieci. W chwili, kiedy żandarmi przyszli aresztować syna, czternastoletnia jej córka, cierpiąca na serce, od dni kilku leżała chora. Rodzice prosili żandarmów, by ci mieli wzgląd na chorą. Prośby nie poskutkowały. Dzieciaka wyciągnięto z łóżka, które poddano ścisłej rewizyi. Wrażenie rewizyi jako też aresztowanie brata wywołało silny atak sercowy, skutkiem czego dziewczynka zmarła nazajutrz. Druga sześciotygodniowa dziewczynka, którą matka karmiła piersią po tak strasznem przejściu, dostała konwulsyi i róży, a w kilka dni skonała. Po niej poszedł trzyletni chłopak, zaraziwszy się różą. Jedyny pozostały syn przesiedział 10 miesięcy w więzieniu, jakkolwiek sami żandarmi mówili, że to dziecko nic nie jest winno samo, ale znało wielu ludzi, o których nazwiska im chodziło.

Gdy groźby 3-letniego więzienia, czynione chłopakowi przez samego naczelnika żandarmów, nie skutkowały, dano matce specyalne widzenie z żądaniem, ażeby jako matka wymogła na dziecku potrzebne żandarmom zeznania. Gdy się chłopak dowiedział, jaką misyę włożono na jego matkę, zawrzał wielkim gniewem, głośno nazwał ich łotrami i oświadczył matce:

— Niech mama powie im, że do tego, com powiedział, nic nie dodam, choćby mię trzymali całe życie.

Powiedział to z taką siłą, że zawiadowca, obecny na widzeniu, przerwał je.

Matka tegoż samego dzielnego chłopca, chcąc mu zrobić przyjemność, zaniosła mu parę kwiatków, lecz oddając je mu, zwróciła się do zawiadowcy, prosząc o pozwolenie. Gdy to usłyszał chłopak, zawołał:

— Jak mama może „ich“ prosić o cokolwiek! Żadnej łaski ani grzeczności od nich nie przyjmę i kwiaty te nie zrobią mi najmniejszej przyjemności. Proszę mamy raz na zawsze, aby „ich“ nigdy o nic dla mnie nie prosiła.

Wracając do zachowywania się rodzin, odwiedzających więźniów, nie chcę twierdzić, ażeby postępowanie rodzin robotniczych zawsze było bez zarzutu. Najczęściej jednak błędy, przez nie popełniane, pochodzą z nieświadomości. Tymczasem u inteligencyi wchodzą w grę bardzo często motywa bardzo niesympatyczne. Czem np. objaśnić fakt, że pewien inteligent, chodząc do zarządu żandarmeryi w sprawie uwięzionego brata, przedstawił żonę swoją żandarmowi, ściskając mu kordyalnie rękę. Żandarm, ośmielony tem, zawsze już później podawał rękę żonie tego pana, jakkolwiek indywidua te mają już tyle taktu, że pierwsi ręki nie podadzą i na ulicy się nie kłaniają, nauczeni prawdopodobnie niezbyt przyjemnem — nawet dla żandarmów — doświadczeniem.

Y.

* *
*

Łomża, w październiku

Przy rządzie gubernialnym łomżyńskim, jak i przy każdym innym, istnieje komisya poborowa (prisutstwije po woinskoj powinnosti), której prezesem jest gubernator. Dawniej Komisya ta była obsadzona urzędnikami polakami i wszystko było w porządku, przynajmniej nie było słychać o żadnych nadużyciach. Mianowany przed paru laty na posadę łomżyńskiego gubernatora, znany ze swych zapędów rusyfikatorskich — baron Korf, usunął polaków i oddał ją pod zarząd niejakiego Smirnowa, przyczem wyłączył samą komisyę z pod juryzdykcyi rządu gubernialnego i przyłączył do swojej kancelaryi, polecając jej dozór zarządzającemu kancelaryą — Moszkinowi. Smirnow, korzystając z opieki Moszkina, oraz urzędnika do szczególnych poruczeń przy gubernatorze — Anuczyna, znanych łapowników, którzy, mówiąc nawiasem, rządzą gubernią i gubernatorem, będącym w ręku ich tylko manekinem do podpisywania papierów, zaraz rozpoczął operacye na wielką skalę i, trzymając się zasady: „Bóg dał ręce, ażeby brać“, brał co tylko było można i dzielił się ze swoimi protektorami. Osoby, które miały służyć w wojsku, spacerowały po ulicach Łomży i innych miast, ich zaś miejsce w szeregach wojska zajęli biedacy, powołani częstokroć nieprawnie, z tego tylko powodu, że nie mogli się opłacić. Robiło się to zupełnie jawnie, wszyscy o tem wiedzieli, nie tylko Łomża, lecz i cała gubernia. Nie wiedział tylko (a może nie chciał wiedzieć) gubernator, który najspokojniej podpisywał to, co mu Moszkin podsunął. Lecz do czasu dzban wodę nosi. O działalności Smirnowa dowiedziano się w Warszawie. Pomocnik jenerał-gubernatora Podgorodnikow, nie chcąc kompromitować rosyjskiego czynownika, radził gubernatorowi usunąć Smirnowa, osoby zaś nieprawnie przez niego uwolnione powołać do służby wojskowej. Inaczej jednak nieco spojrzał na tę sprawę inny pomocnik jenerał-gubernatora — żandarm Fullon. Odniósł się on do prokuratora przy sądzie okręgowym łomżyńskim, który aresztował Smirnowa, osadził w więzieniu i rozpoczął śledztwo sądowe. Gdyby sprawę poprowadzono należycie, wypadałoby pociągnąć do odpowiedzialności Moszkina, Anuczyna, naczelnika powiatu Szczuczyńskiego — znanego łapownika Spirydonowa — i innych, którzy trzymali się za ręce ze Smirnowem, a nadto samego manekina-gubernatora. I stałoby się tak, gdyby oskarżeni byli polakami. Lecz wszyscy moskale należą do liczby uprzywilejowanych, dla których żadne prawa nie istnieją; im wszystko wolno i dlatego można zgóry przepowiedzieć, że sprawa skończy się na niczem, bo kruk krukowi oka nie wydziobie.

Kiedy na posadę warszawskiego jenerał-gubernatora został mianowany Hurko, wydano rozporządzenie, aby każdy urząd gminny posiadał jego portret. Portrety te, rozumie się, były kupowane *dobrowolnie*, tak jak w ogóle pod rządem carskim *dobrowolnie* urządza się iluminacye, stawia się pomniki, pisze się wiernopoddańcze adresy, wysyła się deputacye itd. Ponieważ portret w ramach (dodajmy nędznych) kosztuje 5 rs., urzędów zaś gminnych w Królestwie jest około 1000, zatem dostawca portretów zrobił dobry interes, za co, rozumie się, musiał dać komu należy przyzwoitą łapówkę. Taż sama historya powtórzyła się przy mianowaniu Szuwałowa, Imeretyńskiego, a także wydobytego z pomiędzy zabytków archeologii i obecnie szczęśliwie nami rządzącego Czertkowa. Podobizny więc tych dygnitarzy kosztowały każdą gminę 20 rs. czyli razem wyrzucono „dobrowolnie“ 2000 rs., zebranych z biednej wiejskiej ludności. Gdyby to był jedyny podobnego rodzaju podatek! Niestety, codziennie prawie spotykamy coś podobnego w postaci różnych „dobrowolnych“ składek i ofiar zbieranych pod przymusem.

Życzliwy.

* * *

Nowa żydowska partya robotnicza.

Niedawno powstała wśród żydów na Litwie nowa organizacya, mianująca siebie „Żydowską niezależną partyą robotniczą“. Wydana przez nią odezwa zapoznaje nas z „wyznaniem wiary“ nowego stronnictwa — trzeba przyznać bardzo dziwnem. „Uważamy — mówi odezwa — że żadna teorya nie jest o tyle potężna i niezbicie słuszna, ażeby dawała prawo swym zwolennikom do prowadzenia nieświadomej masy w kierunku celu, którego masa nie rozumie“. Wychodząc z tego założenia, nowa partya odrzuca walkę polityczną jako „obcą jeszcze obecnie“ masom proletaryatu i bardzo wrogo występuje przeciwko „Bundowi“. Powiada ona „Uważamy za nienormalny dzisiejszy stan rzeczy, kiedy organizacye ekonomiczne znajdują się pod kierownictwem przeważnie politycznego w swych celach „Bundu“, ponieważ: a) działalność ekonomiczna stanowi dla „Bundu“ głównie środek rewolucyonizowania masy robotniczej i dlatego „Bund“ w swej działalności ekonomicznej świadomie ignoruje wiele bezwarunkowo korzystnych dla masy robotniczej zarządzeń; b).... robotników z „niebundowskimi“ poglądami „Bund“ nie przyjmuje do organizacyi ekonomicznych, konserwatywną zaś część masy robotniczej odstrasza swą reputacyą partyi politycznej.... c) „Bund“ rozwija robotników jednostronnie, broniąc ich od dostępu „niebundowskich“ poglądów i w ten sposób wprowadza do masy robotniczej ducha niewoli umysłowej. Poza tymi nowa partya skierowuje pod adresem „Bundu“ cały szereg innych, również naiwnych zarzutów. Najciekawszą część odezwy stanowi „program“ partyi, który podajemy tu w całości: „Żydowska niezależna partya robotnicza“ ma na celu podniesienie materyalnego i kulturalnego poziomu proletaryatu żydowskiego za pomocą kulturalnoekonomicznych organizacyi tak nielegalnych, jak i legalnych w miarę możliwości. W praktyce sprowadza się to do: a. rozwijania szerokich organizacyi ekonomicznych (trades-unionów, kas, klubów, asocyacyi), b. rozwijania wśród klasy robotniczej wiedzy naukowej i zawodowej i wychowania jej do życia kolektywnego. Partya jako całość nie stawia sobie żadnych celów politycznych i zajmuje się kwestyami politycznemi tylko w tej mierze, w jakiej dotykają one powszednich interesów robotnika. Partya jednoczy w pracy ekonomicznej i kulturalnej robotników wszelkich poglądów politycznych i wcale bez żadnych poglądów politycznych. Organizacya partyi jest demokratyczna, t. j. rządzi się nie zgóry, lecz zdołu“.

Nowa partya podobno zyskuje sobie dość szybko zwolenników wśród żywiołów, należących dotychczas do „Bundu“. Ciekawa rzecz — czy organizatorowie tej partyi świadomie czy też nieświadomie wykonują plany Zubatowa i innych „ekonomicznych socyalistów“ w mundurach żandarmskich?

* * *

W ostatniej chwili otrzymujemy

„Robotnika“ Nr 42,

który wyszedł z naszej drukarni krajowej 29 października i zawiera na początku następujące ważne oświadczenia K. C. L. S. D. i C. K. R. P.P. S.:

I.

„Socyaldemokracya litewska“ działała dotychczas wśród dwóch odłamów ludności na Litwie, posługujących się językami: polskim i litewskim. Działalność socyalistyczna wśród ludu rdzennie-litewskiego wymaga odrębnej, samodzielnej organizacyi. Natomiast, co się tyczy ludności pracującej na Litwie, mówiącej po polsku, coraz bardziej da-

wała się odczuwać potrzeba wzmocnienia jej walki przez ściślejsze zespolenie z ruchem socyalistycznym w Polsce kongresowej, przez połączenie organizacyjne z Polską Partyą Socyalistyczną. Czyniąc zadość tej potrzebie, oświadczamy w imieniu swojej organizacyi, że jej odłam polski przystępuje do Polskiej Partyi Socyalistycznej, aby wspólnie toczyć walkę o wyzwolenie proletaryatu, o niepodległość Polski i Litwy. „Socyaldemokracya litewska“ będzie nadal prowadziła pracę socyalistyczną wśród ludności, używającej języka litewskiego.

Komitet Centralny
Litewskiej Socyaldemokracyi.

Wilno, we wrześniu 1901 r.

II.

Z radością witamy powyższe oświadczenie naszych towarzyszów litewskich. Zawsze dążyliśmy do tego, aby objąć organizacyą swoją wszystkie czynne i świadome siły proletaryatu, dostępnego naszemu oddziaływaniu. To też gorąco pragnęliśmy połączenia odłamu polskiego „Socyaldemokracyi litewskiej“ z partyą naszą. Połączeniu temu żadne różnice zasadnicze nie stoją na przeszkodzie: program nasz, dążący do zniesienia wszelkiego wyzysku i wszelkiego ucisku, do zdobycia republiki niepodległej dla proletaryatu i przez proletaryat, odpowiada potrzebom zarówno Polski, jak Litwy. Działając na Litwie wśród ludności, mówiącej po polsku, P. P. S. działa w imię wspólnych interesów proletaryatu dla osiągnięcia wspólnych celów.

Obecnie tak ważne dla ruchu robotniczego połączenie doszło do skutku. Witamy więc w naszych szeregach nowych towarzyszów, którzy razem z nami pracować będą, razem z nami walczyć.

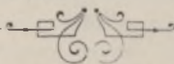
Niech żyje rewolucya socyalna!
Niech żyje niepodległość Polski i Litwy!

Centralny Komitet Robotniczy
Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Warszawa, we wrześniu 1901 r.

* * *

Pozatem na treść najświeższego N-ru „Robotnika“ składają się: Poezya tow. Kruka p. t. „Hej, co mi tam!“; odezwa, wzywająca do nieprzyjmowania nowych książeczek robotniczych; podziękowanie towarzyszom z zaboru austryackiego i pruskiego za wyrazy sympatyi ich zjazdów dla P. P. S. zaboru rosyjskiego, artykuł „Na polu walki“; kronika „Z Rosyi“; „Zza kraty“; w dziale korespondencyi reprezentowane są następujące miejscowości: Warszawa, Łowicz, Łęczyca, Kalisz, Radom, Ostrowiec, Pabianice, Zgierz, Zagłębie Dąbrowskie, Grodno, Białystok, Smorgonie (gub. wileńska) i Wilno. Kronika krajowa, ostrzeżenia i pokwitowania wypełniają resztę numeru. W kronice krajowej zaznaczony jest fakt zabicia szpicla Stefana Oraczewskiego (sprawcy szczęśliwie zbiegli).



Otrzymujemy z prośbą o umieszczenie następujące:

Sprostowanie

notatki redakcyjnej „Przeglądu Wszechpolskiego“, zamieszczonej w N-rze 8-ym (sierpień 1901 r. str. 500).

Po 1-sze nieprawdą jest, jakoby odczyt mój o instytucyach emigracyjnych (Czci i chleba, Szkoła Batignolska, Muzeum Narodowe w Rapperswylu) miał coś osobistego na celu, natomiast prawdą jest, iż celem mego odczytu było wskazanie na pilną potrzebę reformy i poruszenie opinii publicznej, aby sprawami tych naszych instytucyi więcej się zejmowała.

Po 2-gie nieprawdą jest, jakoby na odczycie była garstka słuchaczy, natomiast jest prawdą, stwierdzoną przez *stałych korespondentów* pism polskich w Galicyi, iż publiczność na odczyt zebrała się bardzo licznie.

Po 3-cie nie jest prawdą, jakoby słuchacze pociągnięci zostali niską ceną wstępu i jakoby temat odczytu był dla publiczności polskiej w Zakopanem rzeczą obojętną.

Po 4-te nie jest prawdą, jakoby mój odczyt był zajadłą napaścią na osoby, natomiast jest prawdą, że wskazywałem na cały szereg faktów, świadczących, iż *dobieranie* nowych członków zarządu przez sam zarząd, kooptacya, doprowadza instytucye narodowe na emigracyi do upadku, gdyż przy dobieralności w tych instytucyach może zapanować klika.

Po 5-te nieprawdą jest, jakoby publiczność podczas odczytu opuszczała salę z niesmakiem, natomiast prawdą jest, że po odczycie otoczyło mnie sporo osób z sympatyą i kilka z tych osób, ze mną przedtem nieznajomych, złożyło mi po odczycie swe bilety wizytowe.

Po 6-te nieprawdą jest, jakoby sam prelegent i publiczność nie wiedzieli „o co chodziło“, natomiast prawdą jest, że w liście, wysłanym przez prelegenta do członków Rady Muzealnej, bawiących w Zakopanem (*W ich liczbie był p. R. D. — autor notatki redakcyjnej* którą prostuję; do autorstwa p. R. D. się przyznał w odpowiedziach do redakcyi) — w liście, na odczycie publicznie odczytanym, wyraźnie stało o co chodzi, bo pisałem w owym liście co następuje: na porządku dziennym mego odczytu będzie krytyka porządków istniejących obecnie w Muzeum, cel odczytu — usunięcie zła i mam nadzieję, że Sz. Pan jako członek Rady Muzealnej poczuje się do obowiązku przyjść na odczyt i głos zabrać, aby bronić *status quo* lub przyłączyć się do tych, co żądają zmian na lepsze.

Po 7-e nie jest prawdą, jakobym ja wzywał Radnych, aby ze mną się „wykłócono“ publicznie, natomiast jest prawdą, że w celu zainteresowania rodaków ze wszystkich trzech zaborów naszemi instytucyami narodowemi na emigracyi chciałem wiec zwołać w Zakopanem i że w tym celu prosiłem nawet o współudział p. R. D., członka Rady Muzealnej i autora notatki redakcyjnej w Przeglądzie, ale wszystkie moje kroki, czynione w tym kierunku, aby wiec zwołać, paraliżowano.

Po 8-e nie jest prawdą, jakobym był przez kogoś zaopatrzony w „wątpliwej wartości materyał“, natomiast jest prawdą, że sam się o materyał wystarałem, że jeden wielkiej wagi dokument (Okólnik ś. p. Bukowskiego) odpisałem w Rapperswylu, a inne okólniki — nie mniej autentyczne — wydostałem z innego źródła.

Wacław Studnicki.